



KARPATY • MALAWI • NIEMCY • CHILE • LUBLIN • INDIE • MONGOLIA • PANAMA • CZARNOGÓRA • MADERA

www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

1

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

2019

Madera

SZĘŚĆ WIEKÓW RADOŚCI

str. 96

str. 10

ŁUK KARPAT

ZIMOWE PRZEJŚCIE

str. 38

CHILE

PUSTYNNE ODRODZENIE

str. 48

LUBLIN

MIASTO TAJEMNIC

MALAWI str. 20

PODRÓŻ JAK MALOWANIE

MONGOLIA str. 70

OPIEKUNOWIE RENIFERÓW

PANAMA str. 80

WPUSZCZENI W KANAŁ



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 003 216 14 902 01



NAJLEPSZY PREZENT DLA ROWERZYSTY

Światło Flare R można łatwo schować pod choinką, ale nie można go nie zauważyć na drodze. To tylne światło do jazdy w dzień daje 65 lumenów jednolitego strumienia świetlnego oraz tryb migoczący, widoczne jest już z odległości paru kilometrów!

Dowiedz się więcej na bontrager.com



BONTRAGER



SŁOWACJA, POLSKA, UKRAINA, RUMUNIA str. 10



INDIE str. 58



MALAWI str. 20



POLSKA str. 48



MONGOLIA str. 70

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

SŁOWACJA, POLSKA, UKRAINA, RUMUNIA str. 10

Pierwsze zimowe przejście
łuku Karpat.

Weronika Łukaszewska,
Sławomir Sanocki

MALAWI str. 20

Podróż jak malowanie.

Adam Stecyk

NIEMCY str. 30

Ren, złoty rolls i dwa smoki.

Jerzy Nowiński

CHILE str. 38

San Pedro de Atacama to
mała pustynna miejscowość
z wieloma atrakcjami.

Joanna Broniewska

GEOSKOP str. 46

POLSKA str. 48

Lublin jest pełen tajemnic.

Marta Legieć

PODRÓŻNOŚCI str. 56

Martwa natura
z produktem.

Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

INDIE str. 58

Ladakh to kraina
w Himalajach nazywana
Małym Tybetem.

Katarzyna Gnyra

NAVIGATOR str. 66

MONGOLIA str. 70

Opiekunowie reniferów.

Monika Szczygalska

DŁUGO W DRODZE str. 78

Mój pierwszy raz.

Felieton Łukasza
Długowskiego

PANAMA str. 80

Wpuszczeni w kanał
i okolice.

Anna Dróżdź,
Kamil Majerczyk

POLSKA NIEZNANA str. 88

Góry jak z bajki.

Felieton Mikołaja
Gospodarka

CZARNOGÓRA str. 90

Piękne spotkanie morza
z lądem.

Jerzy Machura

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

MADERA str. 96

Sześć wieków radości.

Magdalena Zelewska

ŚLADAMI

PRZESZŁOŚCI str. 106

Pamiętajcie o ogrodach.

Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
karnawał
na Maderze



Mikołaj Gospodarek

WŁOCHY

Gdzie smog nie sięga

Jesienią powietrze w Dolomitach jest niezwykle przejrzyste. Zdobywając niewielką górę na Passo di Giau, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W oddali zobaczyłem ściany majestatycznego Tre Cime di Lavaredo. Ta ikona Dolomitów przyciąga w północy zakątek Włoch rzesze turystów z całego świata.

KOPALNIA SOLI

WIELICZKA

www.kopalnia.pl



1978-2018

NA LIŚCIE ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA



Damian Drobyk

NOWA ZELANDIA

Pukaki obok Cooka

Taki widok zobaczyłem wczesnym rankiem, po bardzo zimnej i deszczowej nocy w namiocie. Była to nagroda za wytrwałość podczas trudnych nowozelandzkich noclegów przed samym początkiem zimy. Zdjęcie zrobiłem tuż po wschodzie słońca nad jeziorem Pukaki. Niedaleko znajduje się najwyższy szczyt kraju, czyli Góra Cooka, o wysokości 3724 m n.p.m.
www.DamianDrobyk.pl





Paweł Pluciński

POLSKA

Szachownica polowiec

Melanargia galathea występuje w Europie Zachodniej i Środkowej, Afryce Północnej i Azji Mniejszej. Zasiedla łąki, porośnięte krzewami z boczka, nasypy kolejowe, skraje lasów. Jest spotykana też wysoko w górach. Najczęściej siada na kwiatkach driakwi. To jedyna w Polsce rusałka o białych skrzydłach.



Przyślij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





ZIELONE WZGÓRZE

CENTRUM REHABILITACJI

84-207 KOLECZKOWO
ul. POD LASEM 1



CAŁODOBOWA OPIEKA Z REHABILITACJĄ



Placówka zapewnia komfortowe warunki mieszkalne oraz całodobową opiekę osobom niepełnosprawnym, przewlekle chorym i w podeszłym wieku.

www.calodobowaopieka.pl
repcja@mentor-reha.pl
tel. 601 371 372, 58 673 22 68



ZIMOWY ŁUK KARPAT

Weronika Łukaszewska,
Sławomir Sanocki

Pomysł na przejście łańcucha Karpat zimą zrodził się podczas pokonywania tej trasy latem. Wydawało się to mało realne, jednak myśl o tym nie dawała nam spokoju. W końcu podjęliśmy decyzję – idziemy! Pozyskanie środków nie było łatwe. Nawet jeśli ktoś przyznawał, że to ciekawa wyprawa, szanse na jej ukończenie były niewielkie. Pojawiały się pytania, od których i my nie mogliśmy uciec – czy trekking na dystansie ponad 2000 km zimą jest możliwy? Musieliśmy to sprawdzić... w ciągu 89 dni.





Letnich wypraw, które przeszły przez Karpaty, było kilkanaście. Pierwsza zakończona sukcesem miała miejsce w 1980 r. w wykonaniu członków warszawskiego SKPB. Od tamtego czasu około 30 osób przeszło łańcuch Karpat, w tym tylko 3 kobiety. Do tej pory nikt nie próbował podjąć się tego zimą.

Istnieje wiele szlaków długodystansowych na świecie, także tych górskich, jednak Karpaty jeszcze nie doczekały się wytyczenia Via Carpathia. Szerokość łańcucha i wielość

pasz sprawia, że każde przejście różni się od poprzedniego. Średnia długość przejścia Karpat latem to ponad 90 dni. Nie mogliśmy się wzorować na letnich trasach, musieliśmy wyznaczyć swoją, możliwą do pokonania zimą.

WIGILIA NA SIANIE

Zaczynamy w Bratysławie na trzy dni przed Wigilią, jest pochmurno, pada deszcz, który wieczorem zmienia się w śnieg. Wszystkie przemoczone rzeczy zaczynają na nas

NASZE PROCENTY

Niespełna 10 proc. pasma Karpat leży w granicach Polski. Tu Beskid Sądecki.



ŚPIJTA, GDZIE CHCETA

**Biwak na Stogach
(1378 m n.p.m.).**

**Ukraińskie pasma dają
niemal nieograniczoną
wolność, której tak
szukamy w górach.**

zamarzać. Szczęśliwie udaje nam się przenocować pod dachem, gdzie możemy rozłożyć mokre ciuchy.

Karpaty słowackie w zachodnio-północnej części kraju nie są wysokie. Śniegu na naszej trasie jest niewiele, za to dużo błota. W wigilijną noc śpimy w paśniku na sianie. Pierwszy duży śnieg daje nam się w kość, ukazując jednocześnie piękno górskich, zimowych pejzaży. Trafiamy do małych wiosek, gdzie nie ma nawet sklepu. Na słowackiej wsi nie jest

to rzadkością. Podobnie jak przerwa obiadowa w godzinach otwarcia sklepu. Ludzie żyją spokojniej, rodzinnie, z większym dystansem i humorem. Szlaki Małych i Białych Karpat są urozmaicone pozostałościami historii. To ruiny zamków wyodrębniające się na tle skał, na których wyrosły.

Nasza wyprawa z założenia miała odbyć się bez wsparcia. Na trasie przejścia zostawiliśmy depozyty. Jeden z nich wysłaliśmy pocztą, lecz przesyłka nie dotarła na czas. Zakładaliśmy,



FOT. WERONIKA ŁUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI



Wrażenie, jakby świat miał zawalić się nam na głowę, nigdy nie było bardziej rzeczywiste.

CZASEM SŁOŃCE, CZASEM ŚNIEG

Polska wita nas pogodną, słoneczną aurą. Śnieg zaczął topnieć, ptaki śpiewać i tylko niebezpieczny lód na pienińskich ścieżkach przypomina, że to środek zimy. Po trzech tygodniach przebywania całą dobę na zewnątrz i spania w namiocie jesteśmy tak zahartowani, że siedem stopni na plusie w połączeniu ze słońcem powoduje, że rozbieramy się do bielizny.

Gdy wchodzimy w Beskid Sądecki, znów zmagamy się ze śnieżycą. Jest już po zmroku, gdy dochodzimy do wiatek na Gromadzkiej Przełęczy, w których nocujemy. Piękny mroźny wschód słońca wynagradza nam nocne zmagania. Kierujemy się na Halę Łabowską, gdzie zawsze możemy liczyć na gorącą gościnę.

ŚNIEG STRASZY NA PTASZY

Z bieszczadzką śnieżycą wędrowcy zmagali się przez ponad 12 godzin. Na Ptaszy byli już po zmroku, a to ledwie połowa drogi z Cisnej.

FERIE ZIMOWE

Rumuńskie psy pasterskie zimą mają wolne i chętnie poszłyby w góry.

że będziemy później, jednak mała ilość śniegu pozwala nam szybciej pokonywać zamierzony dystans. W łatwym terenie poruszamy się też po zmroku, oświetlając drogę latarkami. Z konieczności częstego uzupełniania zapasów trzymamy się bliżej sklepów, więc trasa ulega modyfikacji.

Względnie dobra pogoda utrzymuje się niemal całą Słowację. Dopiero w paśmie Małej Fatry zaskakuje nas potężna śnieżycą. Drzewa gną się i trzeszczą nad naszymi głowami.



FOT. WERONIKA ŁUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI

WYRWANY ZE SNU

Mimo zimy
niedźwiedzie się budzą.
W Karpatach żyje ich
ok. 8 tys.



FOT. WERONIKA LUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI

UTULNIA POD CZERTEŻEM

Słowackie chatki
w górach stanowią
doskonałe schronienie
na szlaku.



FOT. WERONIKA LUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI

FOT. WERONIKA LUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI

Na granicy Beskidu Niskiego i Bieszczadów przychodzi kilkunastostopniowy mróz. Mocno zmrożony śnieg tworzy skorupę, po której możemy iść bez raków i rakiet. W ciągu dwóch dni pokonujemy 67 km, robiąc tym samym kolejny dzień zapasu. Tu kończy się nasze szczęście do pogody. Trafiamy w najgorszą zawieruchę. Plecaki ciążą po doładowaniu żywnością liofilizowaną i gazem, odebranymi z depozytu w Cisnej. Gdy tylko wychodzimy powyżej 1000 metrów, na odsłoniętą przestrzeń, huraganowy wiatr chce nas zwiać z grzbietu. Cały dzień zmagamy się z wichurą, śniegiem i zaspami. Kilkakrotnie

gubimy szlak. Walkę z pogodą toczymy do późnego wieczora. Naszym celem jest *utulnia*, czyli słowacka chatka pod Czerteżem. Kiedy w końcu tam docieramy, padamy z wycieńczenia. Polskę żegnamy na trójstyku granic, oznaczonym słupem na Krzemieńcu (1221 m n.p.m.).

W LODOWEJ ZBROI

Ukraińska część Karpat wiedzie nas przez połoninne pasma, znacznie wyższe niż do tej pory. Na szczęście z 20-kilogramowych plecaków zapas jedzenia ubywa szybko, mimo



że przyrządzenie posiłku często jest nie lada wyzwaniem. Gdy nie mamy w pobliżu wody, musimy topić śnieg. Jest to zadanie czasochłonne i potrafi zająć nawet godzinę. Dzięki żywności liofilizowanej nie musimy gotować, wystarczy wrzątek do zalania proszkowanej potrawy.

Przechodząc przez Połoninę Równą, znów trafiamy na paskudną pogodę. Nisko zawieszone chmury, śnieg i nasilający się wiatr sprawiają, że idziemy po omacku, czyli według ścieżki na nawigacji GPS. Połonina Borżawa z kolei wita nas piękną pogodą, która trwa tylko jeden dzień, ale możemy nacieszyć oczy

fantastycznym widokiem po horyzont. Podobnie na Połoninie Krasnej.

W paśmie Świdowca znów dopada nas zmiana pogody, jednak nie możemy sobie pozwolić na czekanie na okienko pogodowe. Padający deszcz zamienia się w lód na naszych ubraniach i coraz cięższa skorupa tworzy lodową zbroję.

NA NIEDŹWIEDZIM SZLAKU

Ukraińskie Karpaty nas wyczerpały, a byliśmy dopiero w połowie wędrówki! Rumuńskie pasma są dziksze, bardziej niedostępne, rzadziej

TRÓJSTYK NA KRZEMIĘNCU

Tu trzeba było pożegnać Polskę i skierować się na granicę słowacko-ukraińską.

A PO BURZY SPOKÓJ

Pogoda w Karpatach Południowych zmieniała się jak w kalejdoskopie. Przez tydzień panowały potężne mrozy i śnieżycy, po których nadeszła wiosenna aura i odwilż.



uczęszczane i zagospodarowanie turystyczne jest znikome. Nie licząc najpopularniejszych rejonów, sporadycznie trafiamy na schrony. Z radością zamieniamy je na chaty pasterskie. Dzięki wciąż prowadzonym wypasom owiec są wszechobecne. Korzystamy z nich chętnie, bo dają doskonałe schronienie zimą i pozwalają zaoszczędzić dwie godziny czasu na rozkładanie i zwijanie biwaku. *Styny* latem cały sezon są zamieszkiwane przez pasterzy i ich psy. Tym razem nie musimy się opędzać przed owczarkami, lecz w czasie wypasu jest to zmore każdego turysty.

Przechodzimy pasmo Gór Rodniańskich, najwyższe w Karpatach Wschodnich, jednak na Pietrosul Rodnei (2303 m n.p.m.) nie wchodzimy. Zaczęły się potężne śnieżycy i śniegu przybywa niemal w oczach. Kelimeny zapoczątkowują na naszej trasie pasma wulkaniczne. Niegdyś eksploatowano tu górskie stoki w celu pozyskania siarki. W Gurghiu

pierwszy raz trafiamy na przetorowany szlak! Przez te 4 km cieszymy się jak dzieci, które prawdopodobnie szły tędy na wycieczkę. Podobnie jak okolice pasma Harghita, są to tereny zamieszkiwane przez Szeklerów – potomków madziarskich plemion. Podczas letniej wędrówki przez Karpaty zaskoczyło nas, że w sklepie nie możemy się porozumieć po rumuńsku, bo wielu Szeklerów zna tylko węgierski. Ich odmienność od rumuńskich sąsiadów przejawia się w wielu aspektach i jest łatwo zauważalna. Obie nacje mają jednak jedną wspólną cechę – są niezwykle gościnne. Zdarza się, że zostajemy poczęstowani obiadem, domową śliwowicą (*țuică*) czy zaproszeni do domu na noc.

Miejscowi przestrzegają nas przed dzikimi, głodnymi zwierzętami, jednak dopiero w okolicach Baraolt udzielają nam się te obawy w pełni. Kilometr od zabudowań trafiamy na szczątki krowy. Pozostał już tylko szkielet



FOT. WERONIKA ŁUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI

i skóra, a tropy dookoła nie pozostawiają wątpliwości, czyja to ofiara. Liczbę rumuńskich niedźwiedzi szacuje się na 6500 osobników. Naturalnie większość z nich zamieszkuje właśnie górskie tereny, przez które przechodzimy. Najwyraźniej zmienna aura tej zimy nie pozwoliła spokojnie pospać tym drapieżnikom. Trzymamy się oznaczeń szlaku, wybieramy odsłonięte tereny i głośno rozmawiamy, mając nadzieję, że dzięki temu unikniemy spotkania oko w oko z królem Karpat.

Zbliżamy się do ostatniego odcinka naszej wędrowki – Karpat Południowych. To najwyższa partia łańcucha. Właśnie tu dopada nas front, który nadciągnął znaną Syberii. Temperatura spada do -30°C w nocy i śypie bez przerwy. Idziemy niższymi partiami Piatra Craiului, pasma tworzącego piękny biały grzebień z wapiennych skał. Tym razem obchodzimy się smakiem – śnieżycą i chmury nie pozwalają nam podziwiać panoramy



FOT. WERONIKA ŁUKASZEWSKA I SŁAWOMIR SANOCKI



grzbietu. Ryzyko lawinowe jest zbyt duże, żeby wychodzić na grań Gór Fogaraskich, najwyższego pasma rumuńskiego. Dopiero w kolejnym paśmie, Lotru, jest to możliwe. Po dwóch dniach zmagania z trudnymi warunkami pogodowymi w drodze na grzbiet wreszcie przychodzi nagroda. Zapewne dzięki karmie, która powraca za uratowanie drozda śpiewaka przed zamrożeniem. Z grzbietu Lotru możemy podziwiać górska panoramę Karpat Południowych. Stajemy na 2242-metrowym Șteflești. Jest to najwyższy punkt na naszej trasie.

Dwieście kilometrów do końca. Wydaje się, że tak blisko, a jest tak daleko. Dodatnie temperatury roztopiają zalegające tony śniegu i schodzenie w głębokim błocie śniegowym jest mordercze dla mięśni. Ostatnie dni w skalistym paśmie Mehedinti idziemy w deszczu, choć dalej na rakietach. Po 88 dniach docieramy do kresu naszej wędrowki. Dunaj wije się wstęgą na horyzoncie. Znowu zaczyna padać śnieg, mimo że wiosna tuż, tuż. W Orszowej, na granicy serbsko-rumuńskiej, kończymy naszą górska przygodę przejścia 2200 km przez Karpaty zimą.

Podjęcie tego wyzwania nie byłoby możliwe, gdyby nie nasza pasja. Bez miłości do gór nie bylibyśmy w stanie wytrzymać surowych, zimowych warunków, przetrwać wszystkich kryzysów i odnaleźć w sobie zachwytu nad pięknem otaczającej nas natury. Niewątpliwie mamy na wyciągnięcie ręki jeden z piękniejszych, ciągle dzikich zakątków Europy. Warto go odkrywać, niekoniecznie jako wagabunda. ○

OŻYWIĆ DROZDA

Znaleziony w czasie zamieci wpół żywy drozd śpiewak. Ogrzany pod kurtką, doszedł do siebie i gdy pogoda się poprawiła, znowu mógł cieszyć się życiem na wolności.



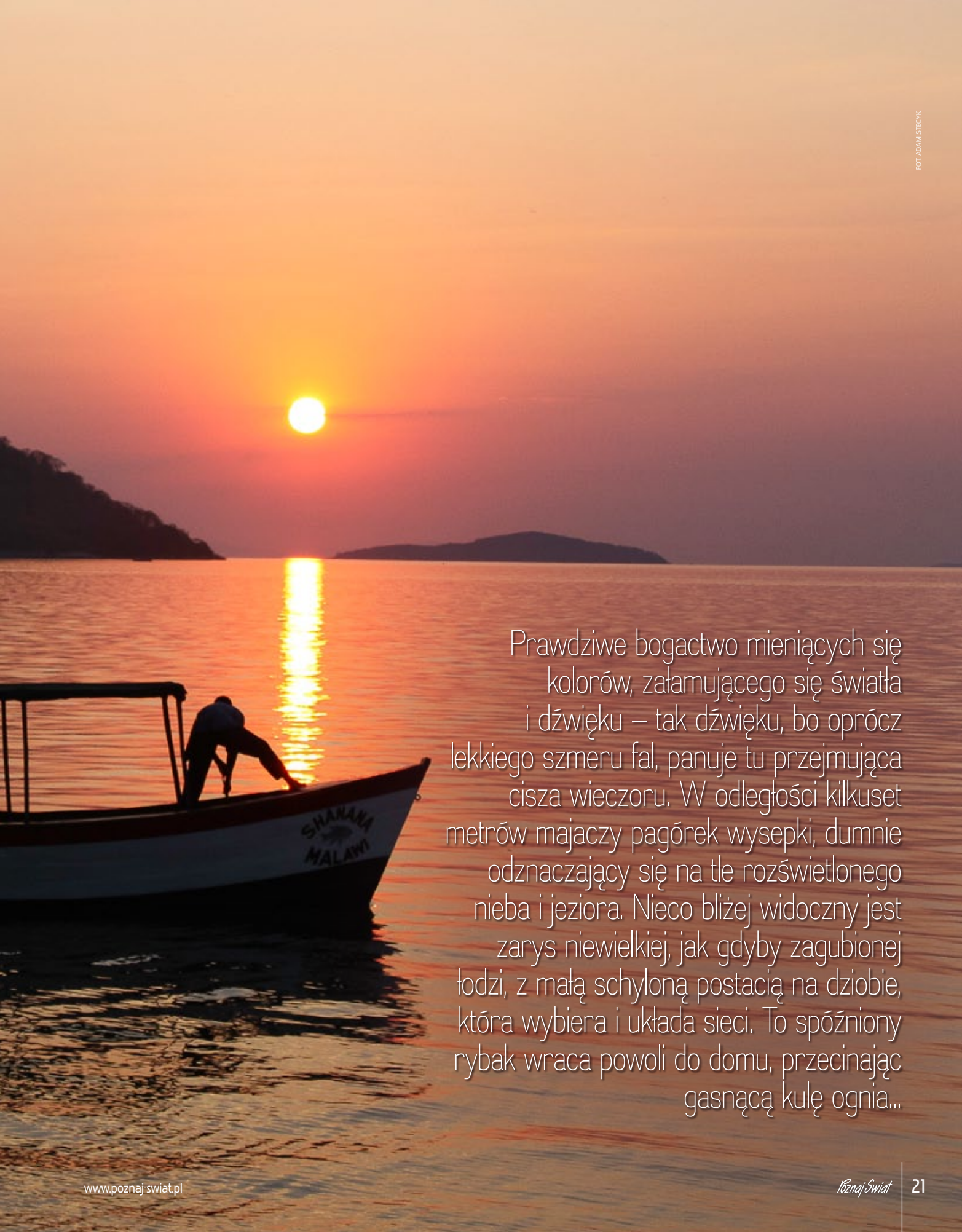
Weronika Łukaszewska i Sławomir Sanocki

Od 2014 realizują razem wędrowki górskie na długich dystansach. Przeszli Główny Szlak Beskidzki oraz dwukrotnie łańcuch Karpat – latem i zimą. Prowadzą bloga na fb.com/LukKarpatZima oraz viamountains.com

PODRÓŻ JAK MALOWANIE

Adam Stecyk





Prawdziwe bogactwo mieniących się kolorów, załamującego się światła i dźwięku – tak dźwięku, bo oprócz lekkiego szmeru fal, panuje tu przejmująca cisza wieczoru. W odległości kilkuset metrów majaczy pagórek wysepki, dumnie odznaczający się na tle rozświetlonego nieba i jeziora. Nieco bliżej widoczny jest zarys niewielkiej, jak gdyby zagubionej łodzi, z małą schyloną postacią na dziobie, która wybiera i układa sieci. To spóźniony rybak wraca powoli do domu, przecinając gasnącą kulę ognia...

RYBACY Z SENGGA BAY

Odpoczynek po całodniowej pracy na plaży w Senga Bay. W tle małutka i charakterystyczna Lizard Island.



Pędzimy taksówką do stolicy Malawi, Lilongwe. Asfaltowa droga, o dziwo, jest równa jak stół. Przednią szybę auta wypełnia soczyste, błękitne niebo. Mijamy nielicznych rowerzystów obwieszonych kiściami bananów, workami cebuli, kapusty i pomidorów, garnkami rodem z Chin, a także... blachą falistą. Zmierzają do miasta na targ.

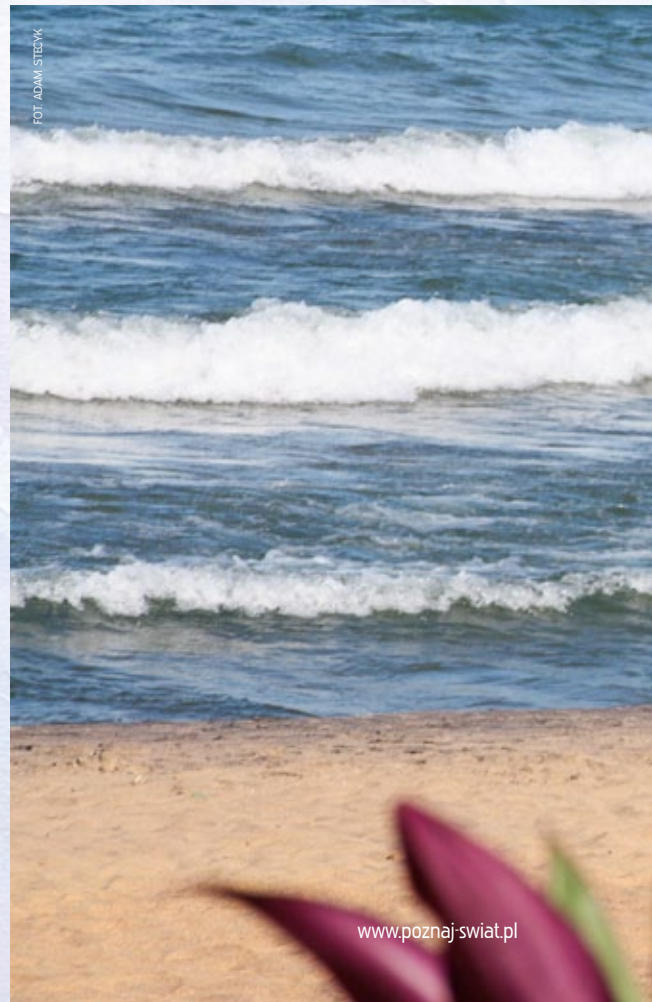
Poboczem drogi ciągną też strużki kobiet z nieodłącznymi kanistrami na głowach lub z maluchami w chustach przewieszonymi przez plecy. Największa rewolucja w Afryce to wynalezienie i spopularyzowanie plastikowego kanistra. Dziś już nie trzeba nosić kamiennych saganów czy glinianych kadzi. Jaka to wygoda, gdy po wodę można wysłać kilkuletnie dziecko.

Podczas postoju zajadam zakupione na straganie jajka. Dookoła mnie zbiera się dzieciarnia i choć jestem już ponad dwa tygodnie w Afryce, wyciągam z małego plecaczka ostatnią paczkę cukierków. Radość jest zawsze tak samo wielka. Dzieciaki się cieszą, dorośli spoglądają jakby przyjaźniej, i nie mam już problemu z zachęceniem ich do zdjęcia.

ŚWIATOWO PRZY BARZE

Po trzech godzinach dojeżdżamy do Lilongwe. Większe miasta w Afryce robią zazwyczaj przygnębiające wrażenie – brudne, zatęchłe, wyglądają, jakby umierały, i tylko ludzie ratują sytuację: są kolorowo ubrani,

często zaciekawieni i uśmiechnięci. Ale w Lilongwe jest inaczej. Stolica Malawi to małe, dość czyste i barwne miasto, wyróżniające się puszczoną samopas zielenią, która potrafi wytrysnąć zza zakrętu w najmniej spodziewanym momencie. W wielu miejscach olbrzymie, zielono-brązowe korony tworzą naturalne tunele



odgradzające od palącego słońca. Wieczorem spaceruję po małym, kameralnym centrum miasta. Także tutaj nie zapomniano o zieleni. Pomiędzy budynkami widać pielęgnowane krzewy i przycięte klomby.

Noc spędzam w Mabuya Camp, w którym znajdują się drewniane domki kempingowe, jest pole namiotowe i budynek z pokojami. Po zameldowaniu rzucam toboły na łóżko w dwunastoosobowym pokoju i idę tam, gdzie spotykają się wszyscy niezależni podróżnicy – do baru.

Jest grupa Holendrów, którzy wracają znad jeziora Malawi i zmierzają w stronę Parku Narodowego Południowej Luangwy w Zambii. Jest para z Japonii, dwóch Niemców i niemówiąca po angielsku starsza pani z Francji, co w żaden sposób jej nie zniechęca do spędzania z nami czasu. Próbuje miejscowego napitku Kucha-Kucha, który ma smakować jak piwo, ale naprawdę nie da się tego pić, i przerzucamy się na miejscowego Carlsberga.

Rozmowy toczą się wśród śmiechów, brzęku szkła i kul bilardowych. Wszyscy jesteśmy

szczęśliwi, trochę pijani, ale bezpieczni, bo mieszkamy w ogrodzonym obozowisku dla białych, którzy – bez względu na podróżniczą rutynę – zawsze pod koniec dnia wypatrują spokojnej przystani.

Kolejny dzień i kolejne wyzwanie, tym razem na jednym z dworców, skąd odchodzą autobusy do Senga Bay nad jeziorem Malawi. Panuje tu klasyczny afrykański rozgardiasz, przelewanie się dwóch potoków: ludzkiego oraz mechanicznego. A wszystko zanurzone w porannym słońcu, wirującym kurzu i ponagających okrzykach. Po zakupie biletu odnajduję duży, parujący spalinami autobus, który nie tylko służy do przewozu ludzi, ale także pełni rolę środka transportu rzeczy wszelakich. Czego tu nie ma: kolorowe wiadra i miski, cynowe garnki, rowerek dla dziecka, żywa, ale związana kura, głowa kapusty pojedynczo i głowy kapusty w wielkich plastikowych torbach, worki ziemniaków, wielkie kiście marchewki i siatki pełne pomidorów, pęki cebuli i pęki bananów, zapakowane po 10 i po 20 sztuk proszki do prania, a do tego

MALOWNICZY POWRÓT

Widok z hotelowego patio na kobiety, zawsze kolorowe, powracające z targu do wioski.



wszystkiego wielkie walizy, toboły, torby i worki pełne ciuchów lub fasoli, słowem – cały afrykański targ.

JEDYNY TURYSTA W OKOLICY

Po dwóch godzinach dojeżdżamy do Salimy, miejsca przesiadkowego, z którego drogi wiodą na północ do Mzuzu i na południe do Blantyre – drugiego co do wielkości miasta w tym kraju. Po kolejnej godzinie jestem w Senga Bay i kieruję się w stronę jeziora.

Mijam targ, na którym mieszają się zapachy złowionych ryb, świeżych i suszonych, woń

Po dłuższej chwili dochodzę do jeziora i widzę seledynowy budynek z małym barem na froncie i kilkoma fotelami w cieniu rozłożystego drzewa. Mufrasa Beach Lodge. Od razu mi się podoba. Dla pewności sprawdzam jeszcze pokój. Okazuje się, że jestem tu jedynym turystą i wszelkie niezbędne wygodę są do mojej dyspozycji. Żyć, nie umierać...

Z RYBAKAMI O SEKSIE

W popołudniowym słońcu spaceruję po plaży i przyglądam się mieszkańcom. Kilkanaście solidnych łódek wyciągniętych na piasek



FOT. ADAM STECIK

PRÓBA ZRĘCNOŚCI

Sprytny malec znalazł jeziora Malawi toczył swoje gumowe kółko bezbłędnie, aż w końcu zniknął z oczu autora – obserwatora.

lekko podgniętych warzyw i owoców oraz bryzy dolatującej od wody. Mijane chatki mają kolor brunatny i tylko niektórym ścianom nadano bardziej radosny wygląd, bo pomalowano je na czerwono lub umieszczono na nich jakiś niezrozumiały napis. Chatki, chatynki. Ni to małe domki, ni to lepianki, coś pomiędzy. Zbudowane na podmurówce, niskie pomieszczenia, czasem obłożone blachą falistą, czasem bambusem. Przez niewielkie otwory w ścianach widać skotłowane posłanie, piecyk, drewniany stół z przewróconym kubkiem, ale także radio czy telewizor.



FOT. ADAM STECIK

stanowi główne miejsce spotkań towarzyskich. Mężczyźni siedzą na burtach lub bezpośrednio na piasku i wykonują różne prace. Porządkują sieci, łatają dziury w czólnach, poprawiają wyblakłe nazwy łódek, dzięki czemu dowiaduję się, że na brzegu stoją m.in. Fastsan Bo, Nike Phiri Company oraz Simunthu 1. Część rybaków leniwie przeciąga się w cieniu nielicznych drzew, inni grają w piłkę, ktoś rozmawia przez komórkę.

Jest przypływ. Duże, wydawałoby się morskie fale uderzają o brzeg jeziora, niosąc ze sobą białą pianę i zakłócając popołudniową ciszę. Siadam na piasku i wpatruję się

w niebieską, czystą toń jeziora Malawi. Moje rozmyślenia przerywa kilkuletni chłopiec. Z zaciętą twarzą biegnie ile sił w nogach wzdłuż brzegu i toczy oponę rowerową. Jest ubrany w jasną, rozpiętą koszulę i postrzępione spodnie. Wygląda, jakby za chwilę miał się zanurzyć w falach i zniknąć razem ze swoją zabawką. Tymczasem jest na tyle wprawny, że opona ani razu nie opada do wody i z gracją toczy się po mokrym piasku. Wszystko to zwiewne i radosne.

Wracam powoli do Mufrasa Beach, siadam w wygodnym wiklinowym fotelu i zamawiam zimne piwo. Przede mną widok na

WODA JEST WSZYSTKIM

Typowe popołudnie w Cape Maclear – kobiety i dzieci przy codziennych pracach nad „wielką wodą”, która jest dla tutejszych wszystkim.



wodę i niedaleką, małą Lizard Island, czyli Wyspę Jaszczurek, na którą wybieram się jutro. W tym celu rozmawiam z miejscowym przewodnikiem i ustalamy cenę wycieczki. Potem następuje prezentacja artystycznych pamiątek, wykonanych, jak się okazuje, przez... jego szwagra. Kolorowe obrazy przedstawiające jezioro i wyspę, malownicze widoczki z dłubanką i zachodem słońca, ryciny przedstawiające afrykańskie kobiety w drodze do studni czy jaskrawe obrazki słoni i hipopotamów.

Po zawarciu transakcji zapraszam przewodnika na piwo. Dosiadają się też jego koledzy i zaczynamy rozmawiać. Bez skrępowania pytają, czy miałem już afrykańską kobietę? Kiedy mówię, że nie, że mam w Polsce dziewczynę, ze zrozumieniem kiwają głowami, dodając wszakże, że... nie wiem, co tracę. Opowiadają o białych kobietach, turystkach, które odwiedzają Senga Bay, żeby zakosztować afrykańskiego seksu. Opowiadają bez fałszywego wstydu, często dodając pikantne szczegóły. W pewnym momencie rozmowa schodzi na śluby i wesela. Tutaj oświadczyzny chłopaka przeprowadza krewny (najczęściej

wujek) w rozmowie z rodziną potencjalnej małżonki. Na wesele schodzi się cała wioska, a także znajomi z okolicznych osad. Każdy przynosi coś do jedzenia i do picia. Para młoda dostarcza jedzenie główne (najczęściej krowę) i trochę alkoholu.

Po chwili milczenia pytają, po co właściwie tu przyjechałem. Gdy odpowiadam, że chciałem zobaczyć jezioro oraz ich kraj, nie bardzo mi chyba wierzą. Po co miałbym się tłuc ze swojego europejskiego raję tutaj, do tej zabitej deskami dziury. Dopytują, czy może będę robił tu jakiś biznes, na przykład handel pamiątkami. O, to wtedy tak, to jest sens, zresztą oni znają artystów i dobrą hurtownię, więc gdybym tylko chciał wejść z nimi w ten pamiątkowy interes... Odpowiadam, że Malawi jest jednym z krajów, który odwiedzam podczas afrykańskiej podróży, że byłem wcześniej w Zambii i że tak naprawdę to oprócz jeziora chciałem zobaczyć dzikie zwierzęta w parkach narodowych. Kiwają tylko głowami, jakby bardziej uspokojeni, że jednak jest sens w tej mojej podróży, a nie tylko niezrozumiała fanaberia białego turysty.

NA WYCIĄgniĘciE RĘKI

Afrykański targ na dworcu autobusowym w Salimie przypomina trochę Wielką Kołomyję Elementarną z książki Niziurskiego.





FOT. ADAM STECYK

JAK POLAK Z POLAKIEM

W szoferce jest pięć siedzeń plus miejsce dla kierowcy, ale znajduje się tam osiem osób i dziecko. Z tyłu na pace jest nas około 25–30 osób, więc ni to siedzę, ni to klęczę. Po godzinie krążenia po wiosce i czekania, aż pick-up się zapełni, w końcu opuszczam Sen-ga Bay i jadę znów do Salimy. Tutaj znajduję autobus do Monkey Bay, odległego o 130 km. A stamtąd jadę do mojego właściwego celu – Cape Maclear, znów nad Malawi.

Podczas postoju przed wyjazdem z Monkey widzę w bocznym lusterku, jak na pakę wsiada dwóch *mzungu* (białych). Kiedy zatrzymujemy się na stacji benzynowej, słyszę, jak rozmawiają, i przez stukot silnika poznaję, że to nie może być angielski. Postanawiam wysiąść. Zagaduję i co się okazuje? Tak jak przypuszczałem: Polacy! Zatankowani i uśmiechnięci, ruszamy w stronę Cape Maclear. Przekrzykując ryk silnika, próbujemy nawiązać rozmowę.

Radek i Piotrek korzystają z mojej rady i razem dojeżdżamy do Fat Monkey's – ostatniego hostelu na plaży, który polecił mi Anglik spotkany nad jeziorem Kariba. Rzeczywiście, jest tutaj pięknie. Przestronny bar na piasku, duże pole namiotowe, gustowne domki, czy raczej chatki kempingowe. Ponieważ w domkach nie ma miejsca, robimy namioty przy

samej plaży. Trafia nam się w ten sposób jedno z najbardziej malowniczych miejsc noclegowych w Afryce.

Wyciągam ostatnie opakowania polskich kabanosów i suchej krakowskiej. Oni stawiają butelkę ginu i gadamy, gadamy. Chłopaki jadą z Dar es Salam, wjechali do Malawi od północy i zmierzają przez Mozambik do Johannesburga w RPA. Mówię im o Zambii i o parkach Dolnej Zambezi i Południowej Luangwy. Opowiadamy sobie także o poznanych ludziach Afryki i zgadzamy się, że są przyjacielscy, otwarci, pomocni.

Do naszej wesołej kompanii dołącza grupa Anglików, wolontariuszy i studentów. Zimne piwko za jednego dolara leje się strumieniami, każdy ma jakąś nową historię do przekazania, cały czas słyhać śmiechu Malawijczyków, którzy włączyli się do imprezy. Jeden starszy Anglik napił się tak, że biega za jakąś studentką, i trzeba go położyć spać, bo rozrabia. Piotrek wprosił się za bar i serwuje drinki, barman z kolei tańczy ze śliczną, dwudziestoletnią Charlottą. Mnie pech nie opuszcza, bo wdałem się w rozmowę o systemach edukacji ze wstawionym studentem medycyny. Z kolei Oli, czarnoskóra Brytyjka, żali mi się, że miejscowi mówią do niej w lokalnym języku, a ona przecież ni w ząb nie rozumie.

AŻ CHCE SIĘ DO STOLICY

Jak widać, do stolicy Lilongwe można jechać prosto, gładko i bez towarzystwa.



FOT. ADAM STECYK

DOBRE DRZEWO

Stoi w centrum wioski, daje cień i przydaje jej urody. Ponadto jego pędy są jadalne, a liście, traktowane jak warzywo, zawierają dużo witaminy C. Baobab kojarzy się tylko dobrze.

ŻYCIE POD BAOBABEM

Baobab w środku wioski jest potężny. Wysoki na kilkadziesiąt metrów i rozłożysty na tyle, że kilkanaście okolicznych bambusowych pałatek to najlepsze miejsca do życia ze względu na rzucany cień. Gdy razem z Piotrkim i Radkiem próbujemy objąć wielki, gruby pień, dzieciarnia, która nam towarzyszy, wybucha donośnym śmiechem. Potrzeba by jeszcze ze sześciu takich do objęcia drzewa.

Wioska robi dobre wrażenie. Przede wszystkim jest czysta i zadbana. Co prawda w powietrzu unosi się specyficzny zapach suszonych ryb, ale z tego właśnie, oprócz turystyki, żyje miejscowa ludność. Na zielonych lub niebieskich płachtach, zawieszonych pomiędzy bambusowymi palikami lub rozłożonymi bezpośrednio na ziemi, leżą tysiące małych srebrzystych rybek. Większe, smakowicie wyglądające okazy wiszą na hakach lub sznurkach w okolicznych sklepikach.

Spacerujemy piaszczystą, ubitą drogą wzdłuż chatek, oglądamy towary, zagadujemy

handlarzy. Idziemy także odwiedzić Daana, Holendra, który realizuje projekt dla dzieci w wiosce: plac zabaw oraz minikino z kreskówkami. Dochodzimy do białego, muranego domku z dużym podwórkiem, gdzie właśnie instalują projektor i sprawdzają, jaki będzie efekt na białej ścianie.

Daan opowiada nam, jak to na emeryturze postanowił zrobić coś dla maluchów. Pomimo szczerych chęci i zapału z jego strony biurokracja i korupcja panująca w Malawi piętrzą same trudności. Co więcej, miejscowa ludność też nie wykazuje chęci pomocy. Pomimo tego widzimy w końcu, jak rozgrzany projektor odpala i na ekranie zaczyna wygłupiać się królik Bugs. Dzieciarnia milknie jak nożem uciął i siedzi wpatrzona w bajkowe cuda.

MALOWIDŁO

Dzisiaj jestem wyposażony w aparat fotograficzny i zapowiedziałem wszystkim znajomym, żeby nie przeszkadzali mi w robieniu zdjęć.

A jest na co popatrzeć. Co prawda jestem już otrząskany z zapierającymi dech w piersiach widokami (Zambia i Uganda), ale to, co zobaczyłem wczoraj, wykracza poza ramy afrykańskiego zachodu słońca. Leżę więc i czekam, a słoneczko, wielka czerwono-pomarańczowa kula, powoli, powoli opada. Nie chodzi o kolory tarczy słońca, ale o feerię barw, które pozostają na niebie jeszcze pół godziny po tym, jak znika ono za horyzontem...

Na górze błękit nieba, poprzecinany białą chmur. Na dole granat jeziora z przybijającymi do brzegu srebrzystymi falami. A pośrodku... A pośrodku równy pas pomarańczowego nieba, żółtozłoty na krawędziach i przechodzący w krwistą czerwień w samym środku tej magicznej smugi. Prawdziwe bogactwo mieniących się kolorów, załamującego się światła i dźwięku – tak, dźwięku, bo oprócz lekkiego szmeru fal otacza mnie przejmująca cisza wieczoru. Wszyscy gdzieś zniknęli i tylko z oddali słysząc ledwo dobiegające szczekanie psa. Całość jest okraszona dwoma

szczegółami, które dopełniają tego cudownego malowidła. Po lewej, w odległości kilkuset metrów, majaczy trójkątny, zielono-czarny pagórek wysepki, dumnie odznaczający się na tle rozświetlonego nieba i jeziora. Po prawej, nieco bliżej, widoczny jest granatowy zarys niewielkiej, jak gdyby zagubionej łodzi rybackiej, z małą schyloną postacią na dziobie, która wybiera i układa sieci. To spóźniony rybak wraca powoli do domu – przecina gasnącą kulę ognia i płynie wzdłuż złotokarminowej wstęgi.

Nadchodzi ciepła noc. W oddali na plaży widzę, jak rozpalają się ogniska i jak miejscowa ludność szykuje się do kolejnego radosnego wieczoru. Myślę o Afryce. O jej trudnej historii, wojnach, niewolnictwie, ludobójstwie. Kolonizacja, dekolonizacja, chaos i czarna rozpacz. A jednocześnie siła, energia i potencjał. Tu właśnie czuje się życie. Afryka, Malawi, Cape Maclear! I gdzieś tam ja, walczący ze swoim demonami, podczas kolejnego etapu podróży. ○

W MALAWI NAD MALAWI

W życiu piękne są tylko chwile... tym razem ta przedwieczorna w Cape Maclear.



Adam Stecyk

Kierownik Katedry Innowacji i Technologii Informacyjnych na Wydziale Zarządzania i Ekonomiki Usług Uniwersytetu Szczecińskiego. Miłośnik podróży, historii, piłki nożnej i strategicznych gier planszowych. Do tej pory odbył ponad 30 podróży na całym świecie, odwiedził 6 kontynentów i ponad 90 państw.





REN, ZŁOTY ROLLS I DWA SMOKI

Jerzy Nowiński

Warowny Drachenfels z swej skały
 Chmurnie na Renu bieg spoziera,
 Który rozdęte wodne wały
 W dwóch winnych brzegach rozpościera.
 Na wzgórzach drzewa kwitną gęste;
 Niwy plon wróżą pożądany;
 Wśród niw i wzgórzy wioski częste;
 Lśnią w słońcu białych domków ściany...

„Wędrówki Childe Harolda” – poemat Lorda Byrona

Przejazd doliną środkowego Renu nie należy do najłatwiejszych, przy czym problemem nie jest wąska, kręta droga, ale leżące po obu stronach rzeki zamki. Kiedyś lokalni możni pobierali na nich myto, dziś jest jeszcze gorzej – przy każdej z ponad sześćdziesięciu warowni musimy zrobić sobie przynajmniej kilka zdjęć. Dodam, że w szybkim pokonaniu trasy nie pomagają urocze miasteczka, średniowieczne kościoły i malownicze winnice ciągnące się na zboczach doliny.

SMOCZA SKAŁA

Taki natłok atrakcji to nie przypadek, bo długa na 130 km trasa jest jedną wielką lekcją historii. Na brzegach Renu osiedlali się Celtowie, później Rzymianie, następnie plemiona germańskie. Dolina znajdowała się w sercu państwa Karolingów, jednak większość zamków, które zachowały się między miejscowościami Bingen a Bonn, pochodzi z okresu Palatynatu Reńskiego. Dla lokalnych możnych kamienne fortece pełniły rolę punktów celnych i zabezpieczenia na wypadek buntów bądź najazdów. Jednak z biegiem czasu twierdze podupadły i do naszych czasów dotrwałoby wyłącznie kilka ruin, gdyby nie romantyzm, który



w XIX w. opanował Europę. Dolina Renu stała się celem podróży pisarzy, muzyków, malarzy, odżyły dawne legendy i mity, a arystokracja wraz z bogatą burżuazją ruszyła do odbudowy rozpadających się warowni. Równolegle na wysokich zboczach możni stawiali pałace, których styl nawiązywał do epoki średniowiecza. Dziesiątki wieżyczek, kamienne ściany



i malowidła udające antyczne miały w zamyśle kreować atmosferę prastarych wieków, jednak zaskakująco często dominował kicz. Przez cały ten czas na stokach doliny rosła winorośl, a w dębowych beczkach dojrzewał riesling...

Przyznam, że Smoczą Skałę zwiedziłem przez przypadek. Pomimo że miejsce to ściągało turystów z całego świata już od

początków XIX w., aby tam dziś trafić, trzeba zboczyć z utartego szlaku. Wszystko za sprawą UNESCO, które po wpisaniu doliny środkowego Renu na listę światowego dziedzictwa ograniczyło ten zabytkowy obszar do wysokości Koblencki. Ze wstydem przyznaję, że podczas pierwszej wizyty perspektywa podziwiania sześćdziesiątego pierwszego oraz

DAS IST ROMANTISCHE
Złote jelenie i pełno neogotyckich wieżyczek w pałacu Drachenburg to pozostałości po romantykach, którzy w XIX w. opanowali dolinę Renu.

sześćdziesiątego drugiego zamku również i we mnie nie wzbudziła nadmiernych emocji.

A szkoda! Historia Smoczej Skały jest bowiem niezwykła i jeśli chcemy zrozumieć magię doliny Renu, najlepiej wybrać się właśnie tam. Na przestrzeni dosłownie jednego kilometra kwadratowego znajdziemy średniowieczny zamek, zabytkową kolej, neogotycki pałacyk, winnice oraz poznamy kilka romantycznych legend.

Drachenfels, bo tak po niemiecku nazywa się to wzniesienie, wchodzi w skład Siedmiogórza i już od czasów imperium rzymskiego pozyskiwano tu trachit, surowiec wykorzystywany m.in. przy budowie katedry kolońskiej. Jego wydobycie trwało przez setki lat, jednak działalność kamieniołomów negatywnie wpływała na stabilność wzgórza, które z czasem zaczęło się osuwać. Do zachowania tego pomnika przyrody przyczynili się romantycy, którzy w XIX w. upodobałi sobie tę okolicę. Pod ich wpływem w 1836 r. rząd pruski za kwotę 10 tys. talarów wykupił całą górę i zapewnił jej prawną ochronę przed dalszymi zniszczeniami związanymi z eksploatacją trachitu. Wydarzenie to było znaczące, bowiem

WIEKOWE ZĄBKI

Już nie parowa, ale elektryczna – to wciąż najstarsza linia kolei zębatej w Niemczech.





dziś uznaje się je za pierwszą próbę konserwacji przyrody w Prusach, a utworzony w ten sposób teren – za protoplastę niemieckich parków narodowych.

Drachenfels ponownie wpisało się w historię Niemiec 17 lipca 1883 r., bo dokładnie wtedy oddano do użytku najstarszą w kraju, a siódmą na świecie kolej zębatą. Prowadzi ona na sam szczyt Smoczej Skały, jej długa na 1,5 km trasa wspina się 300 m i kończy przed ruinami zamku Drachenfels. Podjazd stromym zboczem, nachylonym pod kątem dochodzącym do dwudziestu stopni, był możliwy dzięki nowoczesnej jak na tamte czasy technologii trzeciej zębatej szyny. Koszt całego przedsięwzięcia zamknął się w kwocie 617 tys. marek niemieckich, czyli równowartości dzisiejszych 32 mln złotych. Jest to o tyle zaskakujące, że mówimy o epoce rewolucji przemysłowej, a kolejka pełniła rolę wyłącznie rekreacyjną.

Do 1957 r. turystów woziła lokomotywa parowa, natomiast dziś pod górę zabierze nas tramwaj elektryczny. Wnętrze wagonu

jest niezwykle urokliwe, a wrażenia dopełnia starszy motorniczy i jego oryginalna torba na monety. Z czerwonej skórzanej ławy możemy podziwiać widoki Drachenfels dokładnie tak, jak od 1883 r. robili to niemieccy mieszkańcy.

SEN O ŚREDNIOWIECZU

Leżący na zboczach Smoczej Skały pałac Drachenburg jest idealnym przykładem stylu, jaki dominował w dolinie środkowego Renu pod koniec XIX w. Charakteryzują go odrobinę zbyt ekspresyjne złote jelenie, neogotyckie wieżyczki i „antyczne” malowidła przedstawiające sceny z greckich eposów. Całość, pomimo wrażenia lekkiego kiczu, zgrabnie wkomponowuje się w panoramę Drachenfels. Warto odwiedzić tę posiadłość choćby po to, żeby zobaczyć, jak kiedyś wyobrażano sobie średniowiecze – sekretnie przejścia, wielkie tarasy i monumentalna klatka schodowa. Chwile spędzone w pałacowych murach to przyjemność, ale żeby zrozumieć Drachenburg, należy poznać jego losy.



ZADANO SZYKU

Pałac Drachenburg przywrócono do oryginalnego stanu, choć może i szkoda, bo wizja ekscentrycznego Paula Spinata była równie ciekawa.



PRZY LAMPCE

Czy można wyobrazić sobie lepsze miejsce do wypicia reńskiego rieslinga niż tradycyjna winiarnia leżąca u podnóża Drachenfels?

Rezydencja została ufundowana przez Stephana von Sartera, syna oberżysty, który dorobił się majątku na spekulacjach giełdowych (i przypadkowemu finansowaniu Kanału Sueskiego). Za pieniądze kupił sobie tytuł diuka oraz wybudował neogotycką posiadłość, w której jednak nigdy nie zamieszkał. Po śmierci Sartera pałac Drachenburg przechodził z rąk do rąk. Kolejni właściciele planowali przekształcić go w kurort wypoczynkowy czy park rozrywki (burząc przy okazji zabytkową średniowieczną farmę). Ostatecznie ze śmiałych planów, w które wchodziła budowa hotelu i lądowiska dla zeppelinów, wyszło stosunkowo niewiele i na terenach przypałacowych powstało tylko kilka domków letniskowych, ogród, a we wnętrzu rezydencji urządzono galerię sztuki. Dalsze losy posiadłości były jeszcze bardziej zawile: przekształcono ją w katolicką szkołę Braci Szkolnych, następnie stała się elitarną placówką edukacyjną imienia Adolfa Hitlera dla młodzieży SS, pełniła rolę siedziby armii amerykańskiej, obozu dla uchodźców, centrum szkoleniowego związku kolejarzy RFN, aż wreszcie popadła w ruinę.

Kiedy już szykowano się do wyburzenia pałacu, uratował go ekscentryczny Paul Spinat. Drugi po Sarterze nowobogacki w historii pałacu Drachenburg zainwestował kilka milionów marek w odnowienie całej posiadłości.

Prace renowacyjne były przy tym zaskakująco... odważne: ogrodowe posągi zrobiono z betonu, postawiono „oryginalną” rzeźbę Michała Anioła czy równie autentyczny tron Ludwika XIV, natomiast freski malowali okoliczni artyści, przy czym krążyła plotka, że Spinat zatrudniał każdego, kto miał siłę utrzymać w rękach pędzel.

Żeby w pełni oddać gust nowego właściciela, dodam, że pod Drachenburg podjeżdżał on pomalowanym na złoto rolls-royce'em. W trakcie bankietów, na których gościł m.in. Andy Warhol, gospodarz grał na organach, a do zaproszonych osobistości schodził po pięknie zdobionych schodach. Pewnie nie byłoby to aż tak szokujące, gdyby nie informacja, że instrument okazał się atrapą (o czym nie wiedziała nawet żona Paula), muzykę puszczano z playbacku, a wstawione na środku sali balowej schody prowadziły donikąd. Spinat na początku każdego bankietu chował się za kotarą i potrafił czekać tam nawet przez godzinę, żeby finalnie zejść i przywitać wszystkich gości.

Ostatecznie Drachenburg został wpisany na listę zabytków w 1986 r. Po śmierci ostatniego właściciela fundacja Północnego Renu i Westfalii zajęła się przywróceniem pałacu do oryginalnego stanu, w jakim możemy go dziś oglądać.



PLENER TURNERA

Jeśli znajdująca się w połowie wysokości wzgórza posiadłość to replika, na samym szczycie Smoczej Skały znajdziemy prawdziwy zabytek. Widoczne już z daleka ruiny to pozostałości po XII-wiecznym zamku Drachenfels. Decyzję o jego budowie wydał arcybiskup, który w ten sposób zamierzał zabezpieczyć od południa pobliską Kolonię. Średniowieczna forteca była siedzibą rodu nadreńskich możnych, jednak jej strategiczne znaczenie zmalało po tym, jak pobliskie Bonn otoczono murami. Ostatecznie do upadku zamku Drachenfels przy-

czynili się Szwedzi, którzy wysadzili twierdzę w trakcie wojny trzydziestoletniej. Do naszych czasów dotrwał wyłącznie fragment głównej baszty i zewnętrzna ściana pomieszczeń mieszkalnych, jednak polecam odwiedzić to miejsce. Widok roztaczający się ze szczytu jest zachwycający, a szeroka panorama leżących u stóp Drachenfels miasteczek, widoczne w oddali zamki i szeroka wstęga płynącego między wzgórzami Renu zachęcają do refleksji.

Nie jestem jedynym, którego urzekła atmosfera średniowiecznych ruin. Zamek Drachenfels opisywał angielski pisarz lord

Byron, sylwetkę Smoczej Skały znajdziemy na obrazach Williama Turnera. XIX-wieczni romantycy odwiedzali te okolice w poszukiwaniu tajemnic i legend. U podnóża Drachenfels Zygfryd, bohater germańskiego eposu „Nibelungów”, pokonał terroryzującego okolicę smoka. Obmycie się w jego krwi zapewniło mu odporność na ciosy. Smocza Skała była pechowa również dla innego gada, któremu oddano na pożarcie zniewoloną dziewczę. Gdy potwór miał rzucić się na swoją ofiarę, ta zasłoniła się krucyfiksem. Pod jego wpływem przerażony smok rzucił się do Renu, a pogański książę nawrócił się na chrześcijaństwo.

Pradawne legendy najlepiej opowiada się przy lampce wina, dlatego na zakończenie wizyty na Drachenfels polecam zejść do mieszczącej się u podnóża góry winiarni. Siedząc na skraju winnicy, będziemy mogli skosztować pysznego rieslinga i pogрузić się w lekturze „Wędrówek Childe Harolda”:

A feudalnych zamków mury
Szarzeją wśród zieleni świeżej.
Z tego urwiska, z tamtej wieży,
Z jej zapadłego wpół sklepienia
Minione mówią pokolenia. ◉



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. Autor książki o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.



Z PORTRETU I Z POEMATU

Mieszczące się na szczycie wzgórza ruiny zamku Drachenfels to magnes dla poetów i malarzy. Pisał już o nim lord Byron, a malował William Turner.

Joanna Broniewska

PUSTYNNNE ODRODZENIE

Atacama jest pełna nie tylko pustynnego kurzu, ale i mitów, które dla lokalnej społeczności znowu stanowią ważny element ich andyjskiej tożsamości. Mity te, w połączeniu z księżycowymi krajobrazami płaskowyżu, sprawiły, że San Pedro de Atacama, mała pustynna osada, od trzech dekad zasługuje na miano chilijskiej mekki urlopowej.



FOT. JOANNA BRONIEWSKA

Od dwóch dni słyszę, że tam, o, tam, gdzie te góry, tam jest Chile. Jedziemy wzdłuż granicy, jesteśmy na wysokości ponad czterech tysięcy metrów, góry na horyzoncie raz są tęcze, innym razem wyglądają na usypane z piasku. Są też pokryte śniegiem wulkany – według andyjskich mitów to bracia, synowie Lascara, najpotężniejszego wulkanu w Andach. Licancabur wyłania się dopiero, gdy dojeżdżamy do przejścia granicznego. To „góra ludzi”, ma strzec swoich *Atacameños*.

KOLOROWE ŚWIĘTO

Mówią, że Licancabur zakochał się w Quimal, górze, która miała stać obok niego i jego brata, wulkanu Juriques. Kochali się i świata poza sobą nie widzieli, czego zazdrościł im Juriques. Pewnego dnia zdecydował więc siłą odbić bratu Quimal, na co wściekły Licancabur, w obrobie ukochanej, ściął bratu głowę. Rozeźliło to Lascara, któremu nie pozostało nic innego, jak ukarać syna: przeniósł Quimal kilkaset kilometrów dalej, na drugą stronę San Pedro, w pasmo później nazwane Górą Domeyki.

DOLINA KSIĘŻYCOWA

Do Valle de la Luna najlepiej jechać przed południem – zanim zjadą się wycieczki zorganizowane.

TAK BYŁO!

Granica w Hito Cajón. Po stronie boliwijskiej wiatr był tak silny, że z trudem można było ustać na nogach, a po przejechaniu kilkuset metrów w stronę Chile nie było po nim już śladu.

Bracia od tego czasu stoją obok siebie samotnie; Juriques nazywany przez miejscowych *descabezado*, bezgłowy, i Licancabur, który ma chronić mieszkańców miasteczka. Łaszar jednak, widząc cierpienie syna, pozwolił mu na jedno spotkanie ukochanej każdego roku. W dzień przesilenia zimowego, podczas wschodu słońca, cień Licancabura całkowicie pokrywa Quimal. Ten dzień rozpoczyna nowy rok *Atacameños* – dzień, w którym kończy się

czas żniw i rozpoczyna okres siewu. San Pedro de Atacama, pustynne miasteczko zbudowane z *adobe*, suszonej na słońcu cegły zrobionej z ilu i słomy, pokrywają wtedy kolory: ulice ozdabia *wiphala*, siedmiokolorowa flaga rdzennych mieszkańców Andów Centralnych. Kolory ozdabiają piaskową osadę przez kilka dni, *Atacameños* świętują do 24 czerwca, który w 1999 r. w Chile oficjalnie ustanowiono Narodowym Dniem Ludności Rdzennej.



FOT. JOANNA BRONEWSKA

Od prawie dwudziestu lat to dzień, w którym wszystkie lokalne społeczności w Chile świętują: od Ziemi Ognistej aż po Atacamę.

WELCOME TO SAN PEDRO

Do San Pedro jadę z Boliwii, granicę przekraczam w Hito Cajón, przejściu zaznaczonym na mało której mapie. Strona boliwijska to wiatr atakujący ze wszystkich kierunków, otwarty

dokładne sprawdzenie bagażu, pytania. Dzieścić, piętnaście, czasami dwadzieścia minut na osobę. Gdy wszyscy pasażerowie są już sprawdzeni, a kosze na śmieci wypełnione wszystkim tym, czego przez granicę przewieźć nie można, bus rusza.

Siedzę z przodu, nasz kierowca José jest gadułą, cały czas nazywa mnie Juaną, choć do-
brze wie, jak bardzo tego tłumaczenia mojego imienia nie lubię. Mówi więc co chwilę: – *Oye,*



FOT. JOANNA BROWIEWSKA

szlaban i betonowy barak z dwoma oknami, napisem „migración Bolivia” i czerwono-żółto-zieloną flagą postawioną na płaskim dachu. Jest też parking, z którego codziennie rano odjeżdżają minibusy do San Pedro i jeepy w kierunku salaru.

Kilka kilometrów dalej stoi kanciasty hangar, przed nim korek. W Chile to już nie tylko kolejka po pieczętkę – to otwieranie plecaków,

Juana – „słuchaj, Juana”, puszcza mi oczko i uśmiecha się zawadiacko: – *To co tam mówiłaś mi o Chilijczykach?*

Przejeżdżamy kilkaset metrów, José zatrzymuje się i bez wstawania ze swojego siedzenia ściąga puchową kurtkę, odwraca się w naszą stronę i mówi, mieszając hiszpański z angielskim: – *Welcome to San Pedro: no more frio, no more chaquetas, veinte grados, acá the only*

PUSTYNNNA KLASYKA

Kościół w San Pedro. Wybudowany w 1557 r., zarówno w środku, jak i na zewnątrz reprezentuje klasycyzm w tym rejonie synkretyzm religijny.



LICANCABUR I JURQUES

Dwaj bracia są widoczni nad murem cmentarza w San Pedro. Charakterystyczne trójkąty na murze również symbolizują wulkany.

cold thing es cerveza – „witajcie w San Pedro: bez zimna, bez kurtek, dwadzieścia stopni, tutaj jedyna zimna rzecz to piwo”.

Chwilę później zjeżdżamy z gór. Przed sobą mamy widok na ciągnące się po horyzont wysuszone pustkowia. Atacama – najwyżej położona pustynia świata, najsuchszy rejon planety. Droga z naszej perspektywy wydaje się prostą kreską narysowaną na mapie, by połączyć Boliwię z czarną plamą na środku pustynnego pustkowia. Ta plama to San Pedro de Atacama, przez niektórych nazywane też San Perro. – *Bo perro to po hiszpańsku pies* – tłumaczy pasażerom José. – *Tych jest tutaj więcej niż mieszkańców.*

Jedziemy niecałą godzinę. Gdy dojeżdżamy do centrum miasteczka, pasażerowie pytają José, czy wysadzi nas niedaleko Plaza de Armas. – *In San Pedro de Atacama no Plaza de Armas* – odpowiada kierowca i staje przecznicę od głównego placu. Jesteśmy w Ameryce Łacińskiej i dla wszystkich miejscowość bez Plaza de Armas brzmi podejrzenie. Potem

dowiem się, że San Pedro wyróżnia się na tle Ameryki Łacińskiej pod jeszcze wieloma innymi względami.

– *Que le vaya bien, Joanna* – słyszę, wychodząc z busa, „trzymaj się, Joanna”. José uśmiecha się i znowu puszcza mi oczko. Tak, właśnie to mówiłam o Chilijczykach.

LUDZIE TEJ ZIEMI

Atacameños sami siebie nazywają *Licanantay*, „ludźmi tej ziemi”. Bo zanim pojawili się tutaj Hiszpanie i zanim nowi przybysze pustynię nazwali Atacamą, a ludzi na niej mieszkających *Atacameños*, teren ten przynależał do różnych ludów (obecnie nazywanych *Andinos*) zamieszkujących obszar środkowych Andów. Nie wiadomo, jak dokładnie nazywali płaskowyż (i czy w ogóle mieli na niego określenie), wiadomo natomiast, że to, jak jest nazywany dzisiaj, ma źródło w keczua lub kunza, języku *Licanantay*. Według pierwszej teorii nazwa może pochodzić od *tacama*, co



FOT. JOANNA ERONIEWSKA

w keczua oznacza czarną kaczkę, lub od *ter-cuman* – granicy, do której sięga wzrok. Jeżeli określenie Atacama pochodziłoby jednak z języka kunza, swój źródłosłów miałoby w *tecama*, co oznaczało nic innego, jak „jest mi zimno”, i nawiązywać by miało do dużych spadków temperatury na pustyni w nocy.

Plemiona, z których się wywodzą, a później i sami *Licanantay*, żyli spokojnie na obszarze Atacamy od około 400 r. Potem przyszła konkwista. Po kilku walkach, w których odnieśli spore straty, poddali się w 1557 r. i uznali zwierzchnictwo korony hiszpańskiej. Od tego czasu znowu żyli spokojnie, po swojemu, utrzymywali tradycje i używali własnego języka. Aż do nadejścia wojny o Pacyfik, po której Atacama znalazła się w chilijskich rękach. Państwo zaczęło wywierać na rdzennych mieszkańcach coraz większy wpływ: polityczny, ekonomiczny, ale i kulturowy. Rozpoczął się proces chilenizacji. Niecałe sto lat później, w połowie XX w., język kunza uznano za wymarły.

Obecnie *Atacameños* jest prawie 22 tys. Założone w 1450 r. San Pedro de Atacama ma około 8 tys. mieszkańców, z czego ponad 60 proc. to ludność tubylcza. Na tych samych piaskowych uliczkach, które kilka razy do roku są przyozdabiane kolorową flagą *wiphala*, rdzennych mieszkańców można poznać po kolorach, które noszą, po andyjskich kapeluszach, spódnicach, po idealnie zaplecionych warkoczach i wielkich, zarzuconych na kobiece plecy chust, z których często wystaje mała główka.

KSIĄDZ ODKRYWCA

Mówią, że San Pedro nie byłoby dzisiaj tak rozwinięte, gdyby nie Gustavo Le Paige, belgijski jezuita, który osiadł tutaj w 1955 r. Przyjechał, by chrystianizować, jednak w miasteczku zapamiętano go bardziej jako archeologa, i to nie do końca pozytywnie. Jako pierwszy zaczął przegrzebywać tutejszą ziemię – nie dość, że nie swoją, to bez pozwolenia tych, do których od wieków należała. Wykopywał ceramikę, rękodzieło, obrobione złoto, ale też mumie, które ze wszystkiego interesowały go najbardziej. *Licanantay* się to nie podobalo – zmumifikowane ciała przodków są dla nich święte.

Le Paige sporo też malował, swoim nieco infantylnym pędzlem uwieczniał San Pedro lat 60. i 70. Na jego obrazach przewija się kościół św. Piotra, stojący przy głównym placu miasteczka, są też uliczki i fasady domów, jeszcze nieprzykryte szyldami biur podróży i reklamami. Pokryte piaskiem drogi są puste, brakuje na nich ludzi: tak jakby nie było w San Pedro ani mieszkańców, ani turystów. Widok niemożliwy do zobaczenia współcześnie.

Obrazy Le Paige'a można obejrzeć w Muzeum Archeologicznym noszącym imię księdza, tuż obok wykopanych przez niego elementów kultury *Licanantay*. O ile zaczynało jako ośrodek zdecydowanie bardziej archeologiczny, o tyle San Pedro de Atacama w drugiej połowie XX w. stawało się pomału jednym z najważniejszych celów turystycznych, idealną bazą wypadową na Atacamę. Kilka kilometrów za miastem zaczyna się Dolina Księżycy, która nazwę zawdzięcza formom skalnym tam występującym i która ze względu na klimat jest



FOT. JOANNA BROKOWSKA

MIASTECZKO Z ADOBE

Uliczki San Pedro. Domy zbudowane z adobe są zazwyczaj w kolorze pustyni, czasami jednak maluje się je na biało. Te dwa kolory znacznie przeważają w tutejszym krajobrazie.

miejszem, gdzie są testowane roboty wysyłane później na Marsa. Są też gejzery El Tatio, które dziesiątki turystów ogląda codziennie o świcie, jest Salar de Atacama, sporo mniejszy niż ten po drugiej stronie granicy, lecz równie piękny. Są wody termalne, flamingi i sporty ekstremalne – San Pedro ma wszystko. No, może prawie wszystko.

TAŃCZYĆ NIE WOLNO

Ponieważ San Pedro nie chciało stać się kolejnym andyjskim miastem, do którego zjeżdżają backpackerzy, by poimprezować i zostawić za sobą pogorzelisko (jak stało się w przypadku Cuzco, La Paz czy Arequipy), wprowadziło własną politykę. Stworzyło tym samym swoją markę miasteczka urokliwego, przyjaznego rodzinom, czystego i spokojnego. San Pedro de Atacama, cenami dorównujące Santiago, jest też jednym z droższych miejsc w Chile. Życie nocne tutaj nie istnieje, co więcej – tańczenie jest zabronione. Mocniejsze alkohole w restauracjach można dostać jedynie wraz z zamówionym jedzeniem, a bary w mieście są tylko dwa.

Jednym z nich jest piwiarnia i niewielki browar St. Peter produkujący jedyne lokalne piwo na całą Atacamię. Do trunków dodają

endemiczne, występujące tylko na obszarze płaskowyżu zioła i owoce, dzięki czemu ich smak jest unikatowy. Wśród dodatków jest *rica rica*, chroniony krzew rosnący powyżej trzech tysięcy metrów, który ze względu na znaczenie dla *Atacameños* (głównie pod kątem medycyny ludowej) może być zbierany wyłącznie przez nich. W browarze są też wytwarzane piwa na bazie komosy ryżowej czy *chañar*, słodkiego owocu drzewa o tej samej nazwie. „I pustynia nie jest już taka sucha” – mówi slogan St. Peter. Cóż, po wizycie w barze trudno się zgodzić.

Miasteczko jest drogie, nie oznacza to jednak, że nie można w nim znaleźć nic taniego. Szukajmy małych targowisk, ukrytych za niskimi fasadami, na podwórkach niepozornych domów, zarówno z owocami, warzywami, jak i z rękodziełem. Znajdziemy też domy skrywające dzikie i zapuszczone ogródki restauracji,

w których stołują się miejscowi. Dalej, zaraz obok niewielkiego stadionu, stoi rząd *picadas*, typowych chilijskich tanich barów, serwujących przede wszystkim luncha. Menu zmienia się każdego dnia, do wyboru jest przeważnie kilka przystawek i głównych dań. Lista potraw jest napisana odręcznie na niewielkim kawałku papieru, który podaje się klientom, chociaż czasami i jej brakuje i jedynie kelner powie nam, co danego dnia jest w ofercie. Porcje są duże i domowe, a kosztują nie więcej niż 4 tys. peso, co w San Pedro jest trudną do znalezienia ceną.

PRZODKOWIE ZA RYŻ

Czas dyktatury w San Pedro de Atacama, tak jak w większości regionów zamieszkałych przez mniejszościowe grupy etniczne, to puste sklepowe półki, bieda i głód. Pomóc wtedy postanowił Le Paige, który oferował miejscowym dzieciom jedzenie w zamian za informacje, gdzie są pochowani ich przodkowie. Dzieci, nauczone przez rodziców, że miejsca pochówku są święte, na początku nie chciały zdradzać ich położenia. Jednak Le Paige nie odpuszczał – przekonywał, że wierzenia dotyczące zmarłych są pełne przesądów, które w rzeczywistości nie mają pokrycia. Dzieci nie wiedziały, komu wierzyć, i przekupione jedzeniem, przynosiły księdzu mumie swoich przodków.

Obecnie Muzeum Archeologiczne im. Gustava Le Paige'a należy do Północnego Uniwersytetu Katolickiego i w zbiorach ma ponad 380 tys. eksponatów. Jest tym samym największą kolekcją elementów związanych z kulturą *Atacameños*. Jeszcze do 2007 r. można tam było oglądać również mumie, jednak na liczne (i wieloletnie) prośby mieszkańców zostały one przeniesione do części zamkniętej dla zwiedzających. Rodzinom ich nie zwrócono.

Mumie *Atacameños*, których badaniem i kolekcjonowaniem zajął się Le Paige, zrobiły się sławne w Chile jeszcze za życia księdza. Mówiło się o idealnym zakonserwowaniu nieboszczyków, o technikach mumifikacji nigdzie indziej nieznanych. W 1977 r. przyjechał je zobaczyć sam Augusto Pinochet z żoną. Na dwóch zdjęciach, które zachowały się z wizyty, widać dyktatora oglądającego mumie wystawione na zwykłych stołach, wśród ceramiki i wypłatanych koszy. Na jednej z fotografii Pinochet jakby chciał dotknąć lub właśnie dotknął eksponatu, by coś na nim pokazać. Cofnął rękę. Pstryk. Starszy Le Paige stoi obok niego i wyjaśnia, ma skoncentrowaną twarz. To musiał być dla niego ważny dzień.

Nad badaniami archeologicznymi prowadzonymi przez Le Paige'a czuwał przez cały czas Północny Uniwersytet Katolicki, który później przyznał księdzu doktorat honoris causa, podobnie jak Uniwersytet Chilijski i Uniwersytet Katolicki.

Gustavo Le Paige zmarł w 1980 r. w Santiago. W San Pedro mówi się, że gdy trafił do szpitala, jego ciało było pokryte pustynnym kurzem, którego pielęgniarki nie były w stanie domyć. Kurz miał nawet wychodzić z jego ust aż do śmierci.

Dzisiaj o Le Paige'u przypomina tu kilka rzeczy: jedna z uliczek odchodzących od głównego placu miasteczka nosi jego imię, przed Muzeum Archeologicznym stoi pomnik księdza, a na miejscowym cmentarzu znajduje się jego grób. Bo pomimo niejednej kontrowersji, jaką wywołuje wśród lokalnej społeczności, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, Le Paige został pochowany w San Pedro. ○



Joanna Broniewska

Z wykształcenia lingwistka i antropolożka kulturowa, z zamiłowania wielbicielka dobrych reportaży, wina i podróży. Półtora roku spędziła w Andaluzji, by potem, całkiem przez przypadek, przeprowadzić się do Chile, które skradło jej serce i w którym obecnie mieszka.

WESELI STRAŻNICY NA GRANICY

Budynek chilijskiej straży granicznej. Kontrola jest bardzo restrykcyjna, ale pracowników straży nie opuszcza poczucie humoru i często żartują z podróżnymi (i z podróżnymi).



FOT. JOANNA BRONIEWSKA

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

RAJA AMPAT KAYAKING PROJECT



Dagmara i Leszek wraz z córką Dobrawą 9 stycznia wyruszą w niesamowitą podróż kajakami modułowymi. Tłem tej wyprawy będzie rajski archipeląg składający się z ponad 1500 niewielkich wysepek rozsypanych przy północno-zachodnim wybrzeżu Papui Zachodniej, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Przepastna skarbnica skrywająca atole, laguny, skaliste wyspy porośnięte bujną dżunglą oraz rafę koralową o największej bioróżnorodności na świecie. Ze względu na słabo rozwiniętą w tym rejonie infrastrukturę turystyczną uczestnicy wyprawy będą transportować ze sobą cały niezbędny ekwipunek kempingowy. Wyzwaniem jest także samo dotarcie do miejsca startu. Pierwszym etapem jest bowiem transport lotniczy dwóch



FOT. DAGMARA JUREKA

kajaków modułowych z Polski do Indonezji (na trasie Warszawa – Stambuł – Dżakarta – Makasar – Sorong).

Celem podróży jest eksploracja jednego z najpiękniejszych rejonów Indonezji, przekroczenie kajakami równika, spełnienie marzeń, a także zainspirowanie innych do działania i pokazanie, że rodzina nie jest przeszkodą w realizowaniu śmiałych i angażujących projektów.

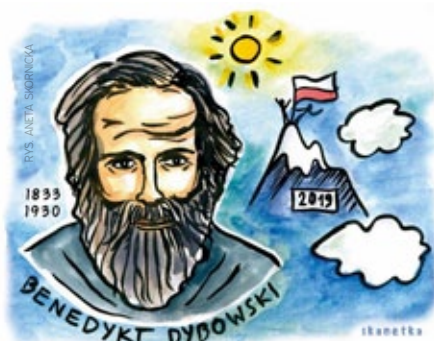
swiatnaszymioczami.pl/raja-ampat-kayaking-project-2019

PIK DYBOWSKIEGO

Kapitan Przebinda jest absolwentem lingwistyki stosowanej na UAM Poznań, miłośnikiem gór, języków, geografii oraz dzięki przyrodzie. Admirał Kryowski to ekonomista, doktorant Uniwersytetu Wiedeńskiego, fan motoryzacji, kolarstwa i wypraw w nieznaną. Kapitan i Admirał to dwóch podróżników o nieco niekonwencjonalnym podejściu do przemierzania świata, a to skutkuje rozmaitymi przygodami, które wspominają z uśmiechem.

W styczniu Kapitan i Admirał ruszają do północno-wschodniej Jakucji, by zdobyć najwyższy szczyt Gór Momskich (2533 m n.p.m.) i nadać mu oficjalną nazwę administracyjną Pik Dybowskiego na cześć wielkiego Polaka, uczestnika powstania styczniowego i badacza Syberii – Benedykta Dybowskiego. Nie będzie

to prosta ekspedycja. Cywilizacja w tamtych stronach niemalże nie istnieje. Niedziałające telefony komórkowe, rzadko uczęszczane, zaśnieżone ścieżki czy osady ludzkie oddalone o ponad 100 km mogą okazać się sporym utrapieniem. Największą trudnością nie będzie jednak brak cywilizacji, ani nawet trudności techniczne w zdobyciu szczytu. Prawdziwym wyzwaniem będzie temperatura. Północno-wschodnia Jakucja jest biegunem zimna na naszej półkuli, a najniższa zanotowana tam temperatura to $-71,2^{\circ}\text{C}$. Ekspedycja ruszy pod koniec stycznia, a więc zmierzy się z warunkami srogiej, syberyjskiej zimy. Będzie to wyzwanie zarówno dla nich, jak i dla sprzętu. Kapitan i Admirał są jednak przygotowani na wszystko.



PEWNEGO RAZU NA KAUKAZIE

Zabierzcie się w podróż samochodami przypadkowo spotkanych gruzińskich i armeńskich kierowców, z których jedni zasłużyli na awanturę, a z innymi żal było się rozstać, choć koła ich zdezelowanych bmw ledwie toczyły się od zabytku do zabytku. Zobaczcie, co świeci nocami na wzgórzach Tbilisi, co zapiera dech w piersiach, kiedy na granicy Gruzji z Rosją rozstępują się chmury i mgła. Dowiedźcie się, dlaczego impreza w klubie się udała, ale nie temu, kto na nią namawiał, do czego – po usłyszeniu odmowy strażników – autorka przekonała imama perskiego meczetu w Erywaniu i na jakie zaskakujące tory skierowało ją zwiedzanie jaskiń pierwszych chrześcijan.



Ta książka to punkt widzenia młodej kobiety na podróż w towarzystwie dwóch mężczyzn. Trzy temperamy, reagujące dynamicznie na siebie nawzajem i na otoczenie, w drodze przez dwa kraje. Oraz setki pomysłów, których finał uczy, że często rzeczy nie są tym, czym się wydają, a liczba zbiegów okoliczności przemawia za opinią, że być może to jednak tylko się nam wszystkim przywidziało. Wydawnictwo Sorus.

TARGI TOUR SALON

W dniach 1–3 lutego w Poznaniu odbędą się targi Tour Salon. To maksymalna dawka inspiracji dla miłośników podróży, których będzie czekać odkrywanie ciekawych miejsc w Polsce i na świecie. Największą atrakcją będą z pewnością spotkania z niezwykłymi podróżnikami. W gronie tym m.in. Jarosław Kuźniar – podróżnik otwarty na zdobywanie unikatowej wiedzy o świecie i ludziach. Na targach pojawi się również Tomasz Zubilewicz, znany jako meteorolog i prezydent pogody, który opowie, dlaczego postanowił napisać książkę o Zabrzu. Z kolei w niezwykłą opowieść o pasji do gór i przekraczaniu granic ludzkich możliwości wciągnie słuchaczy Miłka Raulin, która podzieli się swoim doświadczeniem z realizacji projektu zdobycia Korony Ziemi. Jeśli ktoś będzie miał ochotę na jeszcze większą dawkę podróżniczych wrażeń, koniecznie musi się wybrać w wyprawę przez kontynenty z uczestnikami Festiwalu Śladami Marzeń, który odbywa się w ramach targów. W programie są przewidziane również liczne konkursy. tour-salon.pl





Marta Legieć

MIASTO TAJEMNIC

Z okien staromiejskich kamienic zerkają na przechodniów przedwojenni mieszkańcy Lublina. Ich obraz pozwala choć na chwilę zapomnieć o codzienności i przenieść się w czasie. Podobnie jak spacer po wąskich zaułkach brukowanych uliczek, gdzie wciąż wrze praca w kameralnych warsztatach i sklepikach i gdzie można poczuć ledwo uchwytną atmosferę dawnego miasta.



By liźnąć nieco Lublina, wystarczy przejść Rynek wzdłuż i wszerz, gdzie wieki temu kupcy na drewnianych ławach wystawiali swoje dobra. Było gwarnie, kolorowo, podobnie jak dziś. Jednak by odkryć prawdziwe serce miasta, lepiej spędzić tu więcej czasu, a najlepiej wracać do niego wielokrotnie.

CEBULA Z MAKIEM

W pierwszym napotkanym kramie kupuję kilka cebularzy. Ciepłe, pieczone nie dawniej niż godzinę temu, ładują w papierowej torbie. Sama nie wiem, czy przyznałam się choć jednej osobie, że tym razem do Lublina przyjechałam głównie dla nich. Okrągłe pszenne placki obsypane hojnie cebulą i makiem to prosta potrawa, która lata temu stała się kulinarną wizytówką Lubelszczyzny. Patrząc na kram pełen tych pachnących wypieków i przekonuję się, że jedzenie jest tu częścią kultury, że w pokarmie jest zawarta pamięć o ludziach, ich obyczajach i wierzeniach.

Cebularze jako pierwsi zaczęli wypiekać Żydzi z lubelskiego Starego Miasta. Pierwsze opisy, przepisy i wspomnienia tych bułek sięgają dziewiętnastego stulecia, może nawet są starsze. Stały się produktem masowym dzięki temu, że były tanie, pożywne i smaczne.

Placki z cebulą sprzedawano na ulicy, wprost z wiklinowych koszy noszonych przez

Lublin jest miastem dostatecznie dużym, by można było się w nim skryć, i dostatecznie małym, by się tu odnaleźć – czytam w jednym z dawnych przewodników. Trudno zaprzeczyć tym słowom. Z jakichś dziwnych powodów człowiek czuje się tu niczym w rodzinnym mieście, po którym zawsze spaceruje się we własnym tempie.



RENEANS GOTYKU

Rynek Starego Miasta otaczają piękne kamienice. Były one kilkakrotnie przebudowywane, więc z dawnej architektury gotyckiej zachowały się jedynie fragmenty. Dzięki trwającym od wielu lat pracom konserwatorskim odzyskują dawny blask.

handlarzy na ramionach. Podobno miały nieco inny smak niż te wypiekane dziś przez miejscowych piekarzy. Były duże i podziurawione w środku. Tam, gdzie była dziura, placek był chrupiący. Niewiele jest w Lublinie osób, które pamiętają dawny smak. Jeśli jednak chcecie trafić na wypiek o dobrej jakości, szukajcie cebularzy z certyfikatem. Ministerstwo Rolnictwa precyzyjnie opisało, jaki powinien być cebularz lubelski. Ma określoną wielkość, do jego wypieku są używane produkty – cebula,

mak, olej – pochodzące z Lubelszczyzny. Dużo więcej historii o miejscowej gwiazdzie usłyszycie w Regionalnym Muzeum Cebularza, a pomiędzy opowieściami weźmiecie udział w poszczególnych etapach powstawania smakowitych placek.

TAJEMNICA GONI TAJEMNICĘ

– Zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie, jak z tej kamienicy wychodzi Kochanowski i... – Przewodnik



wskazuje na wielkie, ciężkie drzwi i zaczyna snuć wciągającą opowieść. Fakt, próżno szukać w Polsce drugiego miejsca tak bogatego w niezwykle podania. Co więcej, lublinianie uwielbiają pokazywać swoje miasto za pomocą tych niesamowitych historii. Lubią też tworzyć współczesne legendy, którymi obdarowują przyjezdnych, lub zwyczajnie mówić głośno o tym, czym żyje miasto. Najlepszy jest w tym Władysław Stefan Grzyb, miejski klikon (krzykacz). Zaskoczył wszystkich,



CEBULARZ UNIJNY

Placek obsypany cebulą – proste i pyszne danie, po które warto przyjechać do Lublina. Cebularz lubelski został ogłoszony 37. polskim produktem chronionym w Unii Europejskiej.





PŁOMIENNA ZACHĘTA

Miasto jest pełne kolorowych ozdób, które zachęcają do zwrócenia uwagi na oryginalne fasady zabytkowych budynków.

kiedy w 1990 r. oznajmił doniośle: „Mieszczanie Lublina, zatrzymajcie się i posłuchajcie. W dniu dzisiejszym, 20 czerwca roku Pańskiego 1990 o godzinie 7 wieczorem wróci na Bramę Krakowską obraz św. Antoniego, patrona miasta Lublina”. Zdziwieni przechodnie zatrzymywali się więc i słuchali. Dziś dziwią się już chyba tylko przyjezdni, a miejscowi powtarzają, że niektóre uroczystości zostałyby

pozbawione należnego im splendoru, gdyby zabrakło obwieszczającego okrzyku klikona. Nie ma prawdziwego lubliniaka, który choć raz nie spotkał krzykacza na ulicach. Znają go wszyscy, podobnie jak dawne legendy tworzące klimat miasta.

Wędrowanie po magicznych opowieściach sprawia, że bywa śmieszno i straszno, w sercu ckiwie, a w głowie czasem niewygodnie.



Swoje historie mają tu budynki, ulice, podwórka, a nawet kamienie czy ślady odcisnięte na drewnie. Miejscowi przekonują, że w każdej legendzie jest trochę prawdy, a każdej prawdzie uroku dodaje nieco nieprawdy. Kto nie pozna i nie zrozumie duszy Lublina zanurzonej w mroku tajemniczych epizodów, ten nie pojmie źródła jego obecnego fenomenu i sukcesu.

Kiedy tu dotrzecie, musicie się dowiedzieć, co przysniło się Leszkowi Czarnemu, skąd wziął się na stole ślad Czarciej Łapy, gdzie znajduje się kamień nieszczęścia, kiedy pieje złoty kogucik i co znajdowało się w pewnej tajemniczej skrzyni.

Barwne legendy o mieście, jego powstaniu, symbolach, ważnych miejscach i postaciach można odkryć na własną ręką albo podczas Festiwalu Legend Lubelskich, kiedy Rynek Starego Miasta, przylegające do niego ulice oraz błonia stają się miejscem inscenizacji teatralnych. Są też spaceru tematyczne po zakamarkach miasta, warsztaty, gra miejska i potańcówka przy muzyce na żywo.

Nie tylko na Starym Mieście w powietrzu unosi się dużo dobrej energii. Równie ciekawie prezentuje się Krakowskie Przedmieście, najważniejsza i, jak twierdzi wielu, najpiękniejsza ulica w Lublinie. Usytuowana poza granicami murów miejskich, także ona jest miejscem rozrywki, spacerów i spotkań.

CZASU LEPIEJ NIE LICZYĆ

Do największych atrakcji można tu dojść pieszo. Za każdym razem, kiedy tu jestem, włóczę się po Starym Mieście od zamku, przez Bramę Grodzką i Rynek z trybunałem, aż do Bramy Krakowskiej – symbolu Lublina. Jeśli pod nią staniecie, zerknijcie na umiejscowiony na górze zegar, który czasami źle chodzi. Miejscowi mówią, że winny jest temu mieszkający tu dawniej zegarmistrz, który nie wylewał za kołnierz. To jego duch przedstawia wciąż wskazówki. A skoro te błąkają się po tarczy bez specjalnego nadzoru, czasu lepiej tu nie liczyć.

Wieczorami pod Bramą Krakowską spotykają się zakochani, tu zwykle rozpoczyna

TĘDĄ NA ZAMEK

Pastelowe kamienie wyglądają bajkowo. Pamiętają czasy średniowiecza i renesansu, są dobrymi nauczycielami historii miasta.



SALOON KRAWIECKI

Muzeum Wsi Lubelskiej założono w 1960 r., a pod obecną nazwą istnieje od 1970 r. Warto tu przyjechać, by przenieść się w czasy, które dawno odeszły. To żywe muzeum, jedną z atrakcji są zagrodowe zwierzęta.

się wędrowkę po barach i nocnych klubach, tu grają uliczni muzycy, a stare kwiaciarki sprzedają kwiaty przechodniom spacerującym po wąskich uliczkach wybrukowanych kocimi łbami.

Rynek tętni gwarem gości restauracji i turystów. Jego centralne miejsce zajmuje Stary Ratusz. Majestatyczny budynek od połowy XVI w. był siedzibą trybunału koronnego, czyli sądu apelacyjnego dla Małopolski. Na piętrze obradowała rada miejska, poniżej mieściły się sklepy, karczma, a nawet więzienie i sala tortur. To tutaj zmarł Jan Kochanowski. To tu dziś mieści się pałac ślubów.

Świadkiem lubelskiej przeszłości jest też kościół Nawrócenia św. Pawła. Od wieków góruje przy ul. Bernardyńskiej w ścisłym centrum miasta. Wtórował jego historii – wzlotom i upadkom. Jeśli chce się poznać dzieje Lublina w jednym miejscu, ów kościół jest ku temu najwłaściwszy.

MIASTO, KTÓREGO NIE MA

W Lublinie, jak nigdzie indziej, warto poszukać alternatywnych historii, ciekawych i niepowtarzalnych opowieści oraz osobliwych narracji. Odbyc podroże sentymentalne i mocno subiektywne, wchodząc w skórę miejscowych, zaglądając do zapomnianych, opuszczonych zakątków, budynków na tyłach ruchliwych ulic, które są pełne życia i codziennego, miejskiego zgiełku. Jest ciekawie, choć kilku ważnych miejsc pominąć tu nie wypada.

Miasto było kiedyś wielkim centrum żydowskiej społeczności, nazywane Jerozolimą Królestwa Polskiego. Od XIV w. Żydzi współkształtowali społeczny, ekonomiczny, polityczny, kulturowy i religijny charakter tego miejsca. Stanowili jedną trzecią ludności 120-tysięcznego Lublina.

Granice między miastem chrześcijańskim a żydowskim przez lata stanowiła Brama Grodzka. Dzielnica żydowska rozciągała się



wokół wzgórza zamkowego, tuż pod Starym Miastem. Zamożniejsi Żydzi w tej okolicy prowadzili swoje sklepy i tu mieszkali. Ubożsi zajmowali też przedmieścia: Czwartek, Kalinowszczyznę, Wieniawę, Piaski.

Mimo że podczas okupacji niemieckiej dzielnica żydowska na Podzamczu została wyburzona, a po żydowskim miasteczku pozostało tylko wspomnienie, nadal wiele tu związanych z ich historią budynków i miejsc. Trzeba czasu, by je odnaleźć. Jednak w zamian za poświęcenie otrzymuje się sporą dawkę historii o prawdziwej przeszłości miasta.

PODRÓŻ DO PRZESZŁOŚCI

By dotrzeć do Muzeum Wsi Lubelskiej, trzeba wyjechać poza centrum i zarezerwować sobie zdecydowanie więcej czasu niż godzinę. Powodów jest kilka – po pierwsze teren jest rozległy, po drugie to miejsce naprawdę

wciąża, pozwala wejść do świata, o który w dzieciństwie otarli się już tylko nieliczni.

Otoczenie jest szalenie malownicze i uroczne. Nie dziwi więc, że młode pary przyjeżdżają tu na sesje ślubne. Można się tu poczuć trochę jak planie filmowym, a trochę jak u babci. W wiejskiej chałupie na Rostoczu zapomnieć o bożym świecie, podobnie jak w kameralnej knajpce sprzed stu lat. Jest stara poczta z wielkimi drewnianymi stemplami, szewc, cholewkarz, szynk, fryzjer, małe żydowskie sklepiki, nawet dentysta.

To muzeum żywe – po podwórkach małych domostw spacerują kury i kaczki. Od lat jedną z tutejszych atrakcji są zwierzęta, poza drobiem swój dom mają konie, krowy, owce, kozy i gołębie. Można je nie tylko oglądać, ale – jeśli pozwolą – także pogłaskać. W piecach piecze się chleb według przepisów sprzed lat. Rynek muzealnego miasteczka często barwią kolorowe kramy pełne rękodzieła,

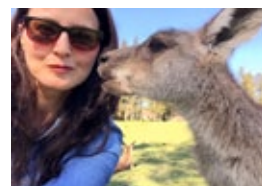
zabawek, słodczy i produktów regionalnych. Są pokazy wyrobu tradycyjnych wiązanek, wypieku cebularzy i poszywania dachu słomą. Można też uczestniczyć w sianokosach.

Ekspozycja w skansenie jest podzielona na siedem części – w każdej są zabudowania z różnych regionów. Są budynki z okolic Lublina, Rostocza m.in. z cerkwią greckokatoliczną z Tarnoszyna, jest sektor Powiśla, w którym można popływać pychówką, jest także część z zabudowaniami dworskimi.

STÓŁ Z GOLASAMI

Opowieść o Lublinie zaczęłam od tutejszych smaków i na nich zakończyć, bowiem cebularz nie jest jedyną potrawą, na którą musicie tu zwrócić uwagę. Lubelszczyzna to smakowita kraina, pełna wszelkiego rodzaju pierogów: ruskich, z kapustą, owocami czy grzybami. Pierogi nazywane lubelskimi wypełnione są po brzegi nadzieniem z kaszy gryczanej i sera. Co ciekawe – podaje się je na słodko ze śmietaną. Miejskie kramarki sprzedają na wagę gryczaki, czyli pierogi gryczane. To coś w rodzaju ciasta z gryczanym nadzieniem, które po upieczeniu można kroić na kromki lub kostki i jeść na zimno. Na zimno dobrze też smakują golasy – placki z kaszy gryczanej, sera, jajek oraz ziemniaków. Kulinarnych niespodzianek jest tu więcej. Nie zdziwcie się, kiedy na stole pojawi się salceson po lubelsku z marynowaną słoniną, a na koniec piernik lubelski ze śliwką.

Jeśli nie macie czasu na poszukiwanie dań, wpadnijcie do Lublina podczas Europejskiego Festiwalu Smaku, który odbywa się tu cyklicznie na początku września. To obecnie jeden z najważniejszych tego typu festiwali w Polsce. To czas, gdy miasto pachnie ziołami, serami i winem. Są wędliny, kiełbasy, pieczenie, sery, chleby, ciasta, miody, podplomyki, konfitury, placki z boczkiem, ziołami i serem, nalewki... Jest też plebiscyt na Najlepszy Smak Lubelszczyzny. Warto zasmakować w Lublinie. ○



Marta Legiec

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.





PODRÓŻNOŚCI
Magdalena Żelazowska

MARTWA NATURA Z PRODUKTEM

CZYLI DZIEŃ Z ŻYCIA INSTAGRAMERA



FOT. SHUTTERSTOCK

Żyjemy dziś w kulcie oczekiwań. Świat, dawno odkryty, przemierzony i zbadany, nie budzi już lęku, ale ma się poddać naszym wymaganiom. Każdy element rzeczywistości ma spełniać ustalone przez nas indywidualne, coraz bardziej wyśrubowane standardy. Jak związek, to porywający, jak praca, to pasjonująca, jak znajomi, to inspirujący. A jak wakacje, to instagramowalne.

Postęp cywilizacyjny sprawił, że pierwotne funkcje różnych elementów naszej codzienności straciły dawną prostotę. Nie wiążemy się już tylko po to, by mieć dzieci, a praca ma nam zapewnić znacznie więcej niż pensję. Podobnie jest z podróżowaniem. Nie jedziemy na urlop po prostu po to, żeby wypocząć. Phi, co za nuda, co za powierzchowność! Oczekujemy więcej. Przed dokonaniem rezerwacji przeszukujemy wyszukiwarki, blogi i portale. Czytamy recenzje, przerzucamy setki zdjęć. Tu nie ma miejsca na przypadek. Cel podróży ma być nie tylko miły i ładny. Ma olśniewać, zaskakiwać i niesamowicie wypadać na zdjęciach. Bo nasz wyjazd to nie zwykła wycieczka, to podróż życia, wiekopomne

trofeum, które zawisnie w złotych ramach w naszej posiadłości. Albo na naszym koncie na Instagramie.

Tego pragmatyzmu nauczyliśmy się w sieci. Zaszczepili go w nas tzw. influencerzy – posiadacze popularnych blogów i kont w mediach społecznościowych. Mój kolega Adrian, pracownik agencji reklamowej, często spotyka takie osoby przy realizacji kampanii promujących różne marki. Ostatnio realizował projekt z instagramerami podróżniczymi i zdradził mi nieco kulis tej współpracy.

Zadaniem zwербowanych przez niego influencerów było odwiedzenie wybranych miejsc i przygotowanie z nich relacji. Adrian był zachwycony, że przy okazji pracy trafił mu się też fajny wyjazd.

Jechał z nosem przyklejonym do szyby wspólnego busa, zachwycając się tym, co widział na trasie. Trochę się zdziwił, że tuż po uruchomieniu silnika instagramerzy jak jeden mąż spuścili głowy, wbijając wzrok w ekrany laptopów i smartfonów. Sprawiali wrażenie kompletnie niezainteresowanych tym, gdzie się znajdują. Na jego zdzwione spojrzenie odrzekli zgodnie: – *Wybacz, ale jesteśmy w pracy. Tak wygląda nasza rzeczywistość.*

Dotąd sądził, że ta rzeczywistość pokrywa się z zawartością ich instagramowych kont, emanujących pasją podróżowania i nieustanną dobrą zabawą. Ale rozumiał argument, że twórcy muszą mieć czas na obróbkę zdjęć, ustalanie harmonogramu publikacji i odpowiadanie na komentarze

Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

użytkowników. To profesjonaliści, w końcu z tego powodu ich zatrudnił. Dlatego zaskoczyły go ich pytania o to, gdzie właściwie są, zdradzające, że nie tylko nie zapoznali się z programem wyjazdu, ale też mają nikłe pojęcie o tej części Europy.

Wreszcie dotarli na miejsce. Adrian zajmował się wszystkimi, jak mógł najlepiej, ale w głębi duszy nie mógł doczekać się zwiedzania. Po wyjściu z samochodu influencerzy rozstawili sprzęt i od razu zabrali się do pracy. W ruch poszły futerały, obiektywy i statywy. W powietrzu zatrzępotały skrzydełka drona, wyciągnęły się kijki do selfie. Adrian zacierał ręce – będzie świetny materiał, a to dopiero początek wyjazdu! Klient będzie zadowolony.

Szybko okazało się, że zadowolonych klientów będzie więcej. Bo w kadrach poza krajobrazami zaczęły lądować wyciągnięte przez instagramerów przedmioty. Książki, kremy, ubrania, markowe akcesoria. Niby to przypadkiem, ale Adrian wiedział, że to płatne zlecenia. Powstaną z tego ładne kompozycje, niby naturalne i niewymuszone, niewinnie prezentujące produkty marek, które zgodziły się za to zapłacić. – *Mamy nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? To nie jest wasza konkurencja* – usłyszał Adrian, kiedy znów dziwnie się przyglądał.

Nie chciał się kłócić, bo marzył już o tym, by ruszyć dalej. Stali tak w miejscu i fotografowali już ponad godzinę. Mina mu jednak zrzedła, kiedy instagramerzy spakowali swój sprzęt i orzekli, że chcą jechać do hotelu.

– *Ale to dopiero początek zwiedzania. W planie mamy więcej miejsc.*

– *Na dziś nam wystarczy, i tak opublikujemy po jednym zdjęciu na dzień. A na tym odludziu nie ma zasięgu, beznadziejny transfer danych. Rozumiesz, mamy zaległości w pracy. Nie jesteśmy tu dla przyjemności. Musimy jakoś zarabiać na życie.*

Adrian pomyślał, że honorarium, którego zażądali za to kilkudniowe zlecenie, spokojnie pozwoliłoby im się odprężyć i nie martwić o przyszłość. Nic jednak nie powiedział. W końcu on też był tam w pracy, a nie dla przyjemności. Choć wcześniej sądził, że da się to pogodzić.

Przez resztę popołudnia instagramerzy nie wychodzili z pokoi. Pozostałe dni wyglądały podobnie. Po kilku dniach na ich kontach ukazały się zaskakująco ładne i przekonujące zdjęcia, które można by wziąć za dowód przeżycia niesamowitych

R E K L A M A

przygód. Pomiędzy nimi przewijały się tzw. martwe natury z produktem – zbliżenie na kawiarniany stolik, na którym leży okładka książki albo ujęcie markowego plecaka w malowniczej scenerii. Wszyscy będą myśleć, że to relacja z fascynującego wyjazdu. Dadzą się temu uwieść i zainspirować. Jedyne Adrian wiedział, że autorzy zdjęć nie wynieśli z tej podróży absolutnie nic.

Za to on wyniósł sporo. Uzyskał publikacje, z których klient był zadowolony. Posiadał mniej lub bardziej pożyteczną wiedzę z zakresu kreacji wizerunku w mediach społecznościowych, na przykład jak skrzyżować zasięgi, wiążąc się z innym influencerem, i jak się rozstać, żeby nie stracić obserwujących (rozwiązanie:

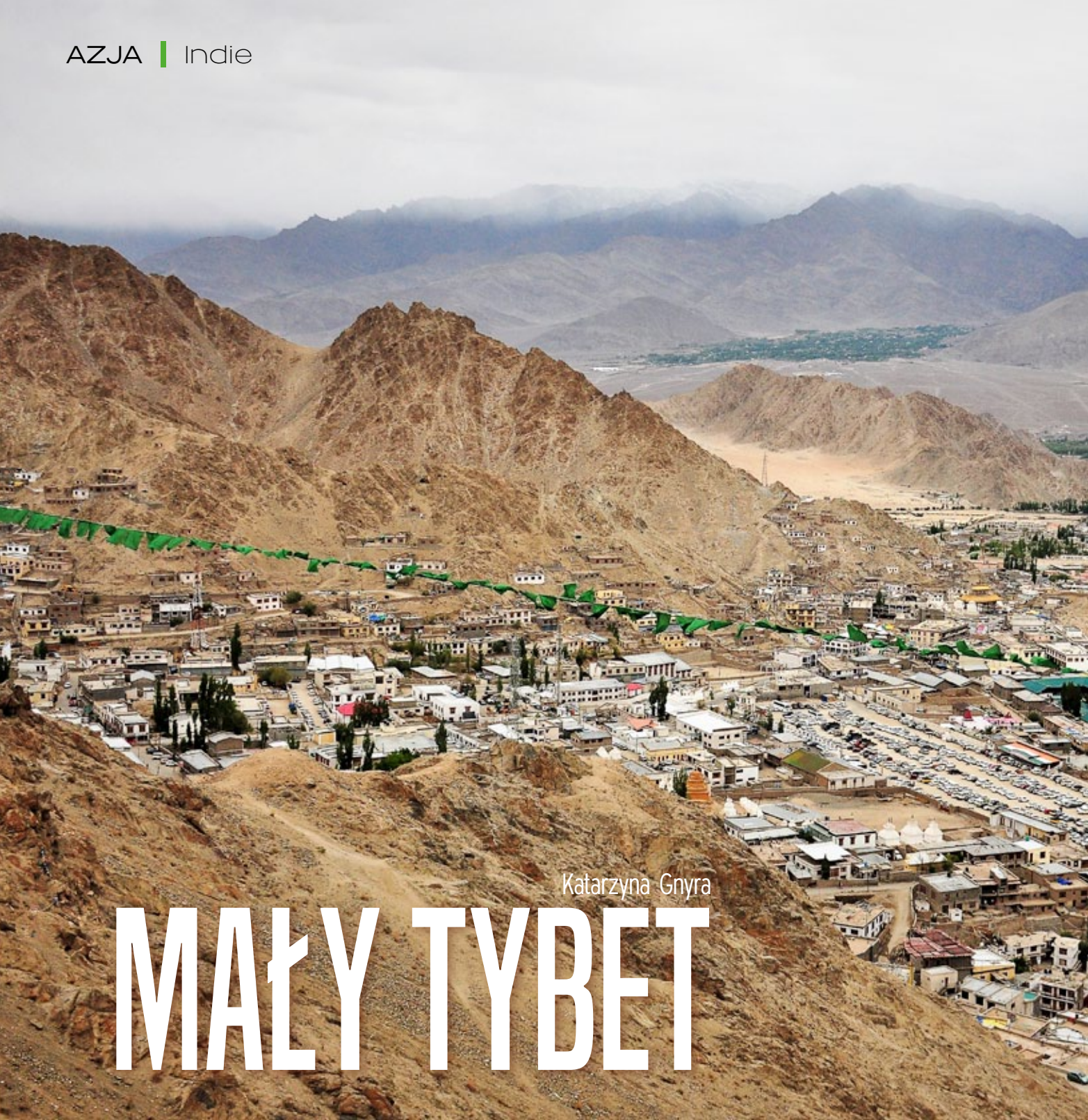
sparować się z jeszcze bardziej szeroko zasięgowym twórcą). Dowiedział się, jak to jest być instagramerem, o czym sam po cichu marzył. Uznał, że to jednak nie dla niego. Miejsca z programu tamtego wyjazdu odwiedził innym razem, prywatnie. Nie wziął ze sobą aparatu. I po prostu dobrze się bawił. W końcu tym razem był tam dla wyłącznie dla przyjemności. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



Katarzyna Gnyra

MAŁY TYBET

Samolot przebiegał się przez chmury. Wszystko pod nami było żółto-pomarańczowo-brązowe z domieszką różnych odcieni szarości. Pasma zieleni pojawiały się rzadko i wyglądały niczym z innego świata. Jakim cudem udaje się tam cokolwiek uprawiać? – pomyślałam. W pobliżu ktoś recytował mantry. Koła maszyny dotknęły ziemi...



mająca wspólnego z muzułmańskim Kaszmiem. Jej nazwa pochodzi od tybetańskiego zwrotu *la-dags*, znaczącego „kraj górskich przejść” – wciśnięty pomiędzy Himalaje Włoskie i łańcuch Karakorum.

ZIMNY LEH

Widok na stolicę Ladakhu, otoczoną górami. W Leh tradycyjnym budowlom z błotnistej cegły towarzyszą też zwyczajne domy murowane.

JULAY, SŁOWO WYTRYCH

Stolicą Ladakhu jest niewielkie miasto Leh, leżące na wysokości 3514 m n.p.m. Wielu przybyszów pierwsze dwa dni spędza w łóżku z objawami choroby wysokościowej. Szczęście to nie ominęło i mnie. Początkowo czułam się zadziwiająco dobrze, zdążyłam nabrać pewności siebie i nawet wybrać na spacer. W pewnym momencie zaczęłam jednak odczuwać nudności i zawroty głowy. Łyknęłam lek z pobliskiej apteki, zdesperowana znalazłam taksówkę i poprosiłam o odwiezienie do hostelu. Nie przewidziałam tylko jednego... że taksówka stanie w korku. Korki w Himalajach!? – kompletnie zgłupiałam. Niestety, wąskie ulice Leh nie są przystosowane do zwiększającego się w ostatnich latach ruchu samochodowego.

Aż do wojny pomiędzy Chinami i Indiami w 1962 r. Leh był ważnym ośrodkiem handlowym jedwabnego szlaku, łączącym ze sobą Chiny, Tybet, Indie i Azję Centralną. Dzięki temu powstała niezwykła mieszanka etniczna. W himalajskiej stolicy można spotkać zarówno Tybetańczyków, jak i Hindusów o rozmaitych korzeniach, a także ludzi o prawie arabskich, kaszmirskich rysach twarzy. Buddystów, hinduistów i muzułmanów...

Ladakh – kraina w Himalajach, nazywana powszechnie Małym Tybetem. Do lat 70. niedostępna dla turystów. Obecnie część północnego regionu Indii, o nazwie Dżammu i Kaszmir. Zdominowana przez buddyzm i niewiele



FOT. KATARZYNA GNURA

PIĘKNA GOMPA

Mały Tybet słynie z przepięknych tybetańskich klasztorów, malowniczo eksponowanych. Do najsłynniejszych należą: Likir, Thikse, Alchi i Hemis.

Uprzejmość mieszkańcy Ladakhu mają we krwi. Gospodynie, ubrane w tradycyjne wełniane suknie *kunthop*, chętnie częstują *gurgur cha* – herbatą z masłem i solą, a na ulicach co chwilę słyszymy: – *Julay!* – słowo wytrych, które oznaczać może dosłownie wszystko: „Dzień dobry”, „Dziękuję” czy „Do zobaczenia!”.

Leh można zwiedzać w dwóch odsłonach. Pierwsza, turystyczna, to dostępne wyłącznie dla pieszych okolice Main Bazar, a także wznoszące się nad nimi wzgórza z dawnym pałacem królewskim i malowniczym klasztorem Tsemo Gompa. To tam spędzam pierwsze dwa dni, nagabywana przez właścicieli sklepów z pamiątkami i wybierając z bogatej oferty restauracji oferujących zachodnie jedzenie. Podziwiam widok na miasto roztaczające się z licznych zamkowych tarasów. Poniżej teren przypominający jakąś chaotyczną konstrukcję – Leh wciąż się rozwija i wygląda jak jeden wielki plac budowy. A nad wszystkim góruje jeszcze Szanti Stupa – Stupa Pokoju.

Odsłona druga, nieturystyczna, którą odkrywam nieco później, to szereg bocznych uliczek – targowisk dla miejscowych. Można

tu kupić dosłownie wszystko, od butów po sprzęty domowe. W jednej z wnęk męczyzna miesza kijem coś w olbrzymim kotle z różową cieczą – farbuje tkaniny. Jest też ręczna pralnia, gdzie ubrania prasuje się metalowym pokaznym żelazkiem, no i inne ciekawostki.

Wchodzę do tzw. *tea stalls*, gdzie serwują *chai* oraz *kumbir* – miejscowy chleb. Pomieszczenie, z dwiema podłużnymi ławami do siedzenia, najczęściej zapełniają mężczyźni. Na ulicy jest raczej brudno, kurz wciska się w nozdrza, co jakiś czas atakuje zapach moczu. W takim miejscu tutejsi patrzą na mnie ze zrozumiałym zdziwieniem.

ZA DUŻO GOŚCI

Po otwarciu granic i powstaniu autostrad łączących Ladakh z pozostałą częścią Indii Mały Tybet zaczął przeżywać dynamiczny rozwój. Lata 80. i 90. dla miejscowych były czasem zachłystnięcia się kulturą Zachodu. Od początku XXI w. kwitnie tutaj turystyka, niestety gości przybywa więcej, niż region jest w stanie przyjąć. W miejscu tradycyjnych



FOT. KATARZYNA GNIA

domów z błotnistej cegły, doskonale trzymających ciepło zimą, powstają betonowe guest-house'y, których ogrzanie pochłania mnóstwo energii. Tereny rolnicze wokół Leh zniknęły całkowicie, bo zastąpiły je hotele. Dostosowane do tutejszych warunków tzw. suche toalety, znajdujące się poza domem, zastępuje się „zachodnimi” ubikacjami zużywającymi mnóstwo wody, której jest przecież coraz mniej.

– W regionie pustynnym, takim jak Ladakh, stanowi to ogromny problem – mówi Henry z organizacji Local Futures. – Większość wody w źródłach pochodzi z topniejących lodowców, a niestety w ostatnich latach opady śniegu są coraz mniejsze. Ludzie budują domy i hotele nawet na pustyni, gdzie wodę trzeba dostarczać rządowymi ciężarówkami.

Ladakh boryka się także z problemem śmieci, których ogromne ilości generują zwłaszcza turyści. Najgorsze są plastikowe butelki i foliowe opakowania.

Coraz częściej młodzi ludzie odchodzą od pracy w rolnictwie i szukają zatrudnienia w mieście. Skutek jest taki, że mieszkańcy uzależniają się od importowanej żywności.

– W takim terenie uzależnianie się od żywności z zewnątrz może być bardzo niebezpieczne – kontynuuje Henry. – Wystarczy najmniejszy konflikt graniczny z Chinami czy Pakistanem, a autostrada zostanie zamknięta, i co wtedy? Ciężarówki z żywnością nie dojadą...

SKUTEREM PO KLASZTORACH

Ladakh postanawiam zwiedzać na własną rękę, bez zatrudniania przewodników czy przewoźników. Odstraszały ceny proponowane przez agencje turystyczne, ale także trudne warunki trekkingu. Od początku lipca codziennie świeci mocne słońce, przed którym nie ochroni ani czapka, ani długie rękawy. Powietrze jest suche i pełne kurzu, piasek gromadzi się w nozdrzach, które krwawią.

Co jakiś czas spoglądam na ogłoszenia – Markha Valley, Stok Kangri – nie czuję się jednak jeszcze na siłach, by wyruszyć na kilkudniową wędrowkę po himalajskiej pustyni. Wolę tereny nieco niższe, zielone, gdzie co jakiś czas można się schronić w cieniu drzewa. Nie jestem także fanką popularnych tu *jeep safari*, czyli czterodniowej jazdy terenówką w kierunku doliny Nubra i jeziora Banggong Co – dwóch najchętniej odwiedzanych miejsc. Nie mogę wyruszyć tam skuterem ze względu na przełęcz Khardung La (5359 m n.p.m.), z którą maszyna o niewielkiej mocy mogłaby sobie nie poradzić. W końcu

SZYBKIE MODŁY

Mieszkanka Ladakhu w tradycyjnym stroju, obracająca młynki modlitewne w klasztorze w Alchi.

PRZYSZŁY BUDDA

Posąg Maitreya – przyszłego Buddy, znajdujący się w klasztorze w Thikse, uważany jest za najpiękniejszą tutaj rzeźbę religijną.



FOT. KATARZYNA GNIA

postanawiam wędrować w promieniu 100 km od Leh – pozwiedzać klasztory i wioski.

Autostrada Leh-Manali, podobnie jak i ta pomiędzy Leh i Srinagar, przypomina miejscami strefę wojenną. Pełno baz wojskowych. Co chwilę mijam żołnierzy w mundurach, ciemnozielone ciężarówki oraz terenówki. Widać ogrodzenia zakończone drutem kolczastym, masywne bramy, a za nimi baraki. W pobliżu chińska granica.

Bazy wprowadzają mnie w dziwny nastrój, nie wybijają jednak z rytmu jazdy. Najgorsze są ciężarówki, z których często wydobywa się gęsty, czarny dym. Poza tym na drodze są jeszcze szalejące jeepy oraz royal enfiełdy – najpopularniejsze tu motocykle. W pobliżu Leh autostrada jest nią tylko z nazwy. Przy drodze sprzedaje się bowiem warzywa i inne najpotrzebniejsze produkty, samochody zatrzymują się na chybił trafił i blokują jeden z dwóch pasów. Skuterem lawiruję pomiędzy

DALEKO OD MAMY

Dzieci oddawane do klasztorów często pochodzą z biedniejszych rodzin. Mnisi zapewniają im wyżywienie i edukację.



uczestnikami ruchu. Powoli posuwam się do przodu.

Pustynny, skalny krajobraz zachwyca i nuży na zmianę. Brakuje mi zieleni, wody. Klimat męczy – jest gorąco i sucho, słońce w ciągu dnia parzy, wieczorem dokucza chłód. Skóra staje się podrażniona. Codziennie w każdą odsłoniętą część ciała wcieram mnóstwo olejku z filtrem 30.

PIWO DLA BÓSTWA

Ladakh warto odwiedzić chociażby ze względu na wspaniałe buddyjskie klasztory. Do najpiękniejszych należą Lamayuru, Likir, Alchi i Thiksey. Nazywa się je tutaj gompami, co



oznacza „miejsce odosobnienia”. W sezonie turystycznym mnichom trudno jednak liczyć na chwilę samotności.

Zapadła mi w pamięci wizyta w Thiksey. Klasztor zachwyca. Zwłaszcza *dukhang* – główne miejsce zgromadzeń, przyciemnione, utrzymane w barwach brązu, złota i czerwieni, udekorowane przepięknymi malowidłami przedstawiającymi sceny z buddyjskiej mitologii oraz tkaninami zwanymi *thangkas*. Znajdują się tam niskie pulpity i podłóżne poduszki służące mnichom do siedzenia. Po obydwu stronach, nieco dalej od wejścia, wiszą olbrzymie, tradycyjne bębny, a przy przeciwległej ścianie znajduje się ołtarz ze świętymi posągami Buddy oraz bóstw, przed którymi palą się

olejne lampy i stoją miseczki z wodą, a także inne dary. W wielu klasztorach są to ciastka, owoce czy banknoty, choć zauważyłam, że co szczęśliwsze bóstwa dostają także... piwo lub butelkę lokalnej whisky.

Oprócz *dukhang* w Thiksey dobrze zapamiętałam schody. Wejść na sam szczyt nie było łatwo – słońce paliło, a stopnie się mnożyły. W połowie drogi, pomiędzy tradycyjnymi budynkami mieszkalnymi, znalazłam kawałek cienia i przysiadłam. W pobliskich drzwiach pojawił się mnich i rozpoczął przyjacielską rozmowę:

- *Which country are you from?*
- *Poland.*
- *Przyjechałaś motocyklem?*

BLIŻEJ NIEBA

**Widok z autostrady
Leh – Srinagar na klasztor
w Basgo. Dawniej do tak
położonych świątyń można
się było dostać wyłącznie
pieszo, wspinając się
po stromej ścieżce
lub schodach.**



FOT. KATARZYNA ONYRA

WIELKA STUPA

Ten typ budowli sakralnej jest często spotykany w Ladakhu, choć nie zawsze stupy bywają aż tak duże.

- Skuterem.
- Zaparkowałaś na dole?
- Tak, koło restauracji.
- Wiesz, tam z drugiej strony jest droga, po której można wjechać na samą górę.

Zbaraniałam. I na co ten cały wysiłek? Ale... mimo wszystko jakoś miło jest zwiedzać klasztor w tradycyjny sposób, jak za dawnych czasów, kiedy asfaltowe drogi nie istniały.

PIERWSZE SPOTKANIE KULTUR

Do Old Likir Guest House trafiłam przypadkiem, poszukując internetu. Z zewnątrz dom wyglądał niepozornie – białe ściany, rzeźbiona framuga, znaczek Trip Advisor przyklejony do niewielkiego okna. Na piętrze przybudówka z wielkimi oknami (znajdują się tam dwa pokoje gościnne, jeden modlitewny i mały taras). Główne pomieszczenie w domu stanowiła kuchnia, ale za to jaka! Urządzona w tradycyjnym stylu *ladakhi* – pod ścianami wspinały, rzeźbione, drewniane kredensy

wypełnione żeliwnymi misami, glinianymi dzbanami, metalowymi i porcelanowymi naczyniami, na podłodze małe stoliki, a pod oknem materace do siedzenia.

– Jeżeli potrzebujesz internetu i zdecydujesz się zostać, możemy podjechać twoim skuterem 10 km do głównej drogi – tam, gdzie moja sieć komórkowa łąapie zasięg, i wtedy udostępnię ci moje 4G – zaproponował właściciel.

Podróż z dorosłym mężczyzną z tyłu, na himalajskich zakrętach, nie wydawała mi się dobrym pomysłem, ale nie miałam wyboru. Kilka kilometrów od Likir zasięgu jednak nie było. Ostatecznie pokonaliśmy około 30 km, zanim udało się cokolwiek zdziałać. W drodze powrotnej zapadł zmrok, ale w końcu odnalazłam odpowiednie skrzyżowanie i skrótami podyktowanymi przez Stanzina dotarliśmy ponownie do Likir.

W domu spędziliśmy wieczór, rozmawiając przy herbacie.

– To już nie ten sam Ladakh – zaczął Stanzin. – Dawniej ludzie cieszyli się, kiedy przyjeżdżali goście. Schodziła się cała wieś, wszyscy



razem jedli i pili. Teraz nikt nikogo już nie obchodzi. Tutaj tylko 10 proc. mieszkańców żyje z turystyki. Reszta pracuje dla wojska.

– Wojsko tak dobrze płaci? – pytam.

– Armia zapewnia emeryturę i opiekę zdrowotną, stałą pensję – odpowiada. – Kiedy poznałem moją żonę, powiedziała mi, że wyjdzie za mnie za męża, jeśli włożę mundur. A ja jej na to, że nie. Trochę to trwało, żeby ją przekonać, ale ślub i tak się odbył. Tak, wojsko zmieniło życie mieszkańców.

Stanzin opowiada też o pierwszych turystach, którzy odwiedzali Mały Tybet tuż po otwarciu granic w latach 70. – Byłem wtedy małym chłopcem. Dalajlama powiedział, że powinniśmy być dobrzy i gościnni dla przybyszów. I mieszkańcy Ladakhu byli przyjaźni, tylko strasznie nieśmiali. Kiedy obcy zjawili się w wiosce, to wszyscy się na nich milcząco patrzyli. Oni myśleli, że my ich u siebie nie chcemy, i sobie poszli. A my po prostu byliśmy wstydliwi. Następnego dnia znaleźliśmy ich śpiących pod olbrzymią skałą. Pomyśleliśmy: co za śmieszni biali ludzie, wolą spać wśród skał niż u nas w domu.

Tak wyglądało pierwsze spotkanie naszych kultur.

SZANUJ LADAKHI!

Ladakh stanowi wspaniały przystanek dla miłośników gór, poszukiwaczy przygód, turystów zafascynowanych buddyzmem. Warto jednak pamiętać, aby po tej niesamowitej krainie podróżować odpowiedzialnie. Przed wyjazdem do Ladakhu dobrze jest np. kupić plastikową lub metalową butelkę na wodę wielokrotnego użytku, najlepiej typu *lifestraw* z filtrem.

Proponuję także zatrzymać się w miejscu, które dysponuje tradycyjnymi suchymi toaletami (naprawdę nie są aż tak niewygodne!), np. w Ecology Hostel. Poza tym warto kupować lokalne produkty: sok z jagód czy moreli, powidła, *kumbir*, nie tylko po to, żeby ich spróbować, ale także – żeby wspierać lokalną produkcję.

Pamiętajmy, że my, turyści, możemy mieć ogromny wpływ na przyszłość tego niezwykle ciekawego regionu oraz jego mieszkańców. ○

MITOLOGIA W TAŃCU

Festiwal w klasztorze w Phyang. Mnisi, przebrani w tradycyjne stroje i rytualne maski, przez trzy dni tańczą, przedstawiając sceny z buddyjskiej mitologii.



Katarzyna Gnyra

Studiowała dziennikarstwo i filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obieżyświatka, obecnie mieszka w Szkocji. Zafascynowana kulturami azjatyckimi, podróżowała po takich krajach, jak: Indie, Malezja, Tajlandia, Wietnam, Laos, Kambodża czy Singapur. Backpacking to jej ulubione słowo. Obecnie marzy o Afryce. Prowadzi bloga: www.wethair.pl.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Nowości w Jaworzynie Krynickiej

Wnadchodzącym sezonie zimowym narciarze będą mieli do dyspozycji prawie 10 km różnorodnych tras narciarskich bardzo dobrze naśnieżonych i przygotowanych do jazdy. Wszystko dzięki kompleksowej modernizacji systemu śnieżenia, a także nowemu sprzętowi do utrzymania śniegu, który pojawił na Jaworzynie Krynickiej. Sezon rozpoczyna się w drugiej połowie grudnia. Krynistler Snowpark to najdłuższy i największy w Polsce snowpark, liczący 1050 m. W tym sezonie będą mogli z niego korzystać zarówno początkujący snowboardziści, jak i eksperci w tej dziedzinie. Dla wszystkich osób, które rozpoczynają przygodę z narciarstwem, będzie czynna Szkoła Jaworzyna Ski & Snowboard, a dla najmłodszych – Akademia Misia Polarne. Podopieczni szkoły mogą liczyć na liczne bonusy, takie jak: bramki pierwszeństwa przy

wyciągach, wydzielone poletka treningowe do szkolenia najmłodszych, a przede wszystkim doświadczona i profesjonalna kadra instruktorska.

W budynku stacji dolnej będzie czekać największa w regionie wypożyczalnia sprzętu narciarskiego oraz centrum testowe nart Rossignol. Będzie również sklep z akcesoriami zimowymi i gadżetami stacji narciarskiej. W centrum testowym Rossignol będzie najnowsza kolekcja nart tej marki, którą można testować na trasie slalomowej z pomiarem czasu. Skipassy można kupować w sklepie internetowym, w biletomatach na stacji dolnej kolei gondolowej oraz w kasach biletowych. Zakupy online są premiowane zniżką.



49°25'N 20°53'E

Kompleks tras narciarskich mieści się w Krynicy-Zdroju, na wschodnich zboczach Jaworzyny Krynickiej.



NAVIGATOR – TOP 5 kierunków na ferie w prawdziwie zimowym stylu

Jeśli ferie, to w prawdziwie zimowym stylu. Redakcja Wirtualnej Polski poleca listę pięciu topowych kierunków, w których czeka doskonała baza hotelowa, świetnie przygotowane stoki narciarskie i cała masa dodatkowych atrakcji.

Austria Dolina Stubai

Austriacka Dolina Stubai to miejsce idealne dla rodzin z dziećmi – słynie z niemalże doskonałych warunków narciarskich. Snowboardziści, freeriderzy i narciarze rekreacyjni mogą tu wypoczywać m.in. na lodowcu Stubai (pokrywa śnieżna na nim osiąga nawet 90 cm) i w ośrodku narciarskim Schlick 2000.

Dolinę Stubai kilkakrotnie wybierano najbardziej przyjaznym rodzinie regionem narciarskim w Alpach. Nie bez powodu, np.: na lodowcu Stubai, w szkółce narciarskiej Big Family, kurs jazdy na nartach jest dostępny już dla dzieci powyżej czwartego roku życia. W ośrodku narciarskim Schlick 2000 w Fulpmes rodzice z dziećmi doceniają za to szerokie nartostrady. Maluchy mogą korzystać tu z kilku wyciągów taśmowych, karuzeli narciarskiej, tras do slalomu z kolorowymi flagami oraz łagodnego stoku.

Sześciodniowy karnet do ośrodka Stubai Gletscher kosztuje 243 euro (dla dorosłego), 171 euro (dla dzieci w wieku 15–18 lat) i 121,50 euro (dla dzieci w wieku 10–14 lat). Karnet jednodniowy do ośrodka Schlick 2000 to koszt kolejno: 37,50 euro, 26,30 euro i 19,10 euro. Dzieci poniżej dziesiątego roku życia, w towarzystwie osoby dorosłej ze skipasem, mogą jeździć na nartach za darmo we wszystkich tutejszych ośrodkach.



47°00'N 11°09'E

Dojazd z Wrocławia do Doliny Stubai przez Czechy lub Niemcy trwa ok. 7 godzin.

Włochy Val di Sole

W włoskiej Dolinie Słońca, Val di Sole, znajdziemy aż 270 km tras oraz 97 wyciągów narciarskich. Pokrywa śniegowa, w zależności od stacji, wynosi tu ok. 40–60 cm. To miejsce idealne dla tych, którzy po aktywnym dniu na stoku chcą jeszcze skorzystać z dobrej zabawy wieczorem. W okolicy znajdują się liczne dyskoteki, puby oraz restauracje z bogatą ofertą kuchni regionalnej.



46°19'N 10°45'E

Sześciodniowy karnet dla dorosłego kosztuje 275 euro, dla młodzieży – 193 euro, a dla dzieci – 138 euro.



Czechy Szpindlerowy Młyn

Szpindlerowy Młyn jest największym i najbardziej popularnym ośrodkiem górskim w Czechach. Poza 25 km zróżnicowanych nartostrad (pokrywa śnieżna 30–60 cm) na miłośników sportów zimowych czekają także: ścianka wspinaczkowa, snowtubing, paragliding, łyżwy czy skutery śnieżne. We wszystkich szkołkach narciarskich, poza możliwością nauki, na dzieci czekają animacje oraz ciekawe zabawy. Dorośli także będą zachwyceni – regularne piątkowe lub sobotnie imprezy w Svatém Petru słyną z takich atrakcji, jak: fireshow, taniec roleb, narciarskie jazdy drużynowe, aprés-ski party.



50°43'N 15°36'E

Sześciodniowy karnet dla dorosłych kosztuje 4460 koron czeskich, dla młodzieży – 3570 koron czeskich, a dla dzieci – 3120 koron czeskich.



Słowacja Jasna Chopok

Największy ośrodek sportów zimowych na Słowacji leży w Tatrach Niżnych u podnóża szczytu Chopok (2024 m n.p.m.). Oferuje 50 km idealnie przygotowanych tras zjazdowych o różnym stopniu trudności, odpowiednich dla początkujących, rodzin z dziećmi i zaawansowanych narciarzy. Pokrywa śnieżna wynosi tu ok. 50 cm.



48°56'N 19°35'E

6-dniowy skipass dla dorosłych kosztuje 162 euro, dla dzieci – 113 euro.

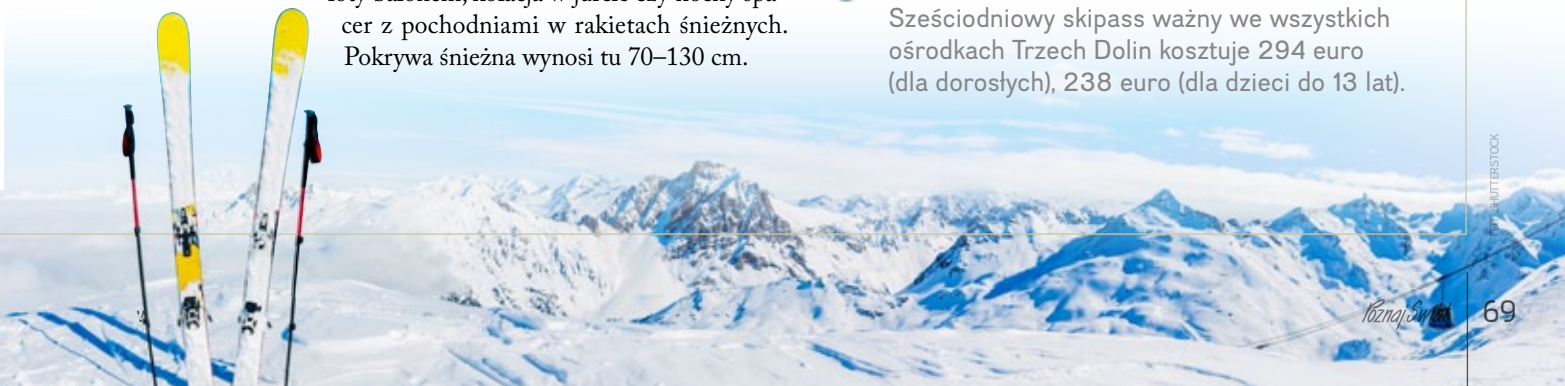
Francja Trzy Doliny

Największy teren narciarski na świecie znajduje się we Francji. Na miejscu można znaleźć wykwintne restauracje, ekskluzywne butiky, skorzystać z nocnej jazdy na nartach z pochodniami, przejażdżki saniami konnymi czy imprez sportowych na najwyższym poziomie. Doskonale przygotowane stoki w jednej z tutejszych miejscowości, Courchevel, mogą wprawić w zachwyt. Ośrodek oferuje zarówno typowe trasy leśne, jak i wymagające wysokogórskie zjazdy. 19 zielonych, 35 niebieskich, 34 czerwonych i 8 czarnych – w sumie jest tu 150 km tras oraz 58 wyciągów. Najbardziej znana z nich jest czerwona trasa La Combe de Saurel, która często gości zawody alpejskiego pucharu świata. Także miłośnicy narciarstwa biegowego znajdą tutaj coś dla siebie. Wokół Courchevel wytyczono ponad 66 km tras. Inne atrakcje to skigliding (połączenie narciarstwa z lotniarstwem), łyżwy, loty balonem, kolacja w jurcie czy nocny spacer z pochodniami w raketach śnieżnych. Pokrywa śnieżna wynosi tu 70–130 cm.



45°29'N 06°31'E

Sześciodniowy skipass ważny we wszystkich ośrodkach Trzech Dolin kosztuje 294 euro (dla dorosłych), 238 euro (dla dzieci do 13 lat).



OPIEKUNOWIE RENIFERÓW

Monika Szczygielska





Zbliża się wieczór. Zaya sygnalizuje rozbięcie obozu i przygotowanie posiłku, ale my chcemy jechać dalej, chociaż jesteśmy w siodłach od samego rana. Godzinę potem, po wspięciu się na ostatnie wzgórze, roztacza się przed nami wielka równina z kilkoma szarymi punktami na horyzoncie. Tsaatan – tłumaczy Zaya, wskazując palcem na owe punkty, które okazują się namiotami. Od celu naszej podróży – obozu ostatnich koczowniczych hodowców reniferów – dzieli nas kilkanaście minut.

Wszystko zaczyna się trzy dni wcześniej, w położonym w północnej Mongolii mieście Murun. To baza wyjazdowa dla wszystkich wybierających się nad jezioro Chubsuguł – bardzo popularne wśród Mongołów miejsce wakacyjnego wypoczynku. Droga nad jezioro w pewnym momencie się rozwidla, a jej odnoga (okrzyknięta najgorszą drogą w kraju) prowadzi do regionu zamieszkanego przez mongolskich nomadów – zarówno tych mieszkających w jurtach, hodujących konie i owce, jak i mniejszości etnicznej Tsaatan, która od stuleci opiekuje się reniferami.

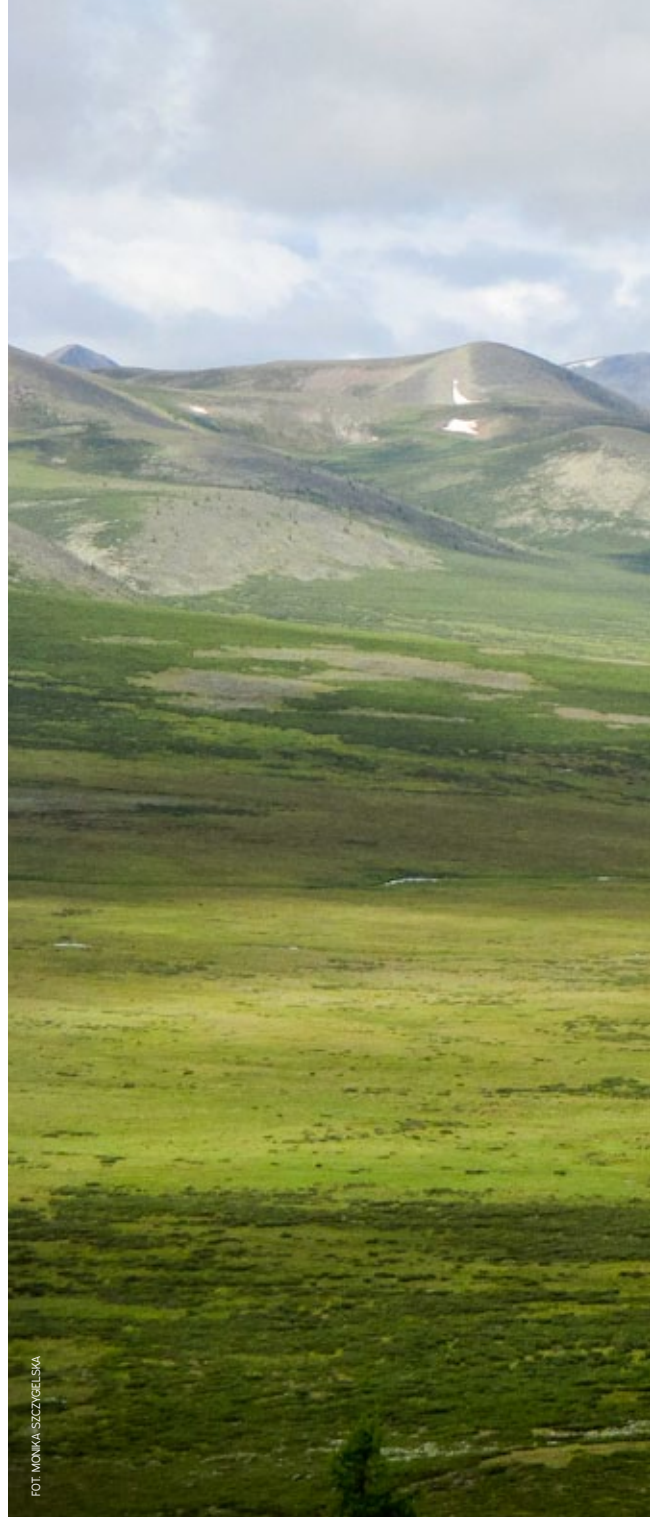
NIEBO GWIAŹDZISTE NADE MNĄ

Dolina, w której mieszka około 60 rodzin nomadów, jest odległa od najbliższego miasteczka o co najmniej dzień drogi. Z miasta można dojechać mającą już swoje lata rosyjską furgonetką UAZ 452, służącą tu za transport publiczny. Potrzebuje ona około 10 godzin na przedarcie się przez pozbawioną asfaltu mongolską tundrę. Dalszy odcinek jest możliwy do pokonania tylko konno lub pieszo.

Gdy wstaję rano, wszyscy są już na nogach: kierowca, Zaya – nasz mongolski przewodnik oraz Max – moja towarzyszką z Australii, właścicielka hostelu, dzięki której znalazłam się na tej wyprawie. Nasze bagaże i prowiant ładujemy w samochodzie. Po drodze odbieramy jeszcze

NIC IM WIĘCEJ NIE POTRZEBA

Wnętrze jurty to proste, a zarazem funkcjonalne mieszkanie zawierające tylko niezbędne wyposażenie. W życiu mongolskich pasterzy nie ma miejsca na przedmioty zbytku.



pozwolenie na przebywanie w przygranicznym rejonie, i dalej czeka nas już tylko 10 godzin po wybojach i koleinach.

Mniej więcej w połowie drogi zatrzymujemy się w małej wiosce z domową restauracją. Do pierwszego celu – osady hodowców koni, z której rozpoczniemy wędrowkę – docieramy już po zmroku. Tę noc spędzamy u rodziny naszego przewodnika, gdzie zostajemy



poczęstowane mongolską słoną herbatą z mlekiem oraz daniem z baraniny. Jedyna komunikacja z rodziną to kilka słów, które znają po angielsku, i kilka, które ja znam po mongolsku; reszta to gesty i mowa ciała.

Źródłem światła w jurtcie jest mała żarówka zasilana akumulatorem oraz przenośna lampka na energię słoneczną. W środku panuje mrok, ale da się rozpoznać domowe

wyposażenie: znajdujący się w centralnym miejscu piec, dwa łóżka przy ścianie, szafkę służącą za kuchnię oraz skrzynię na najcenniejsze przedmioty z ustawionym na niej telewizorem. Jurta jest okrągła, zbudowana z drewnianych elementów połączonych ze sobą bez użycia gwoździ. Konstrukcja jest okryta płótnem i ocieplona wołłkiem. Na środku dachu znajduje się otwór wylotowy

W DOLINE TSAATAN
Dolina północno-zachodniej Mongolii, niedaleko granicy z Rosją. Na zdjęciu jedna z kilkudziesięciu istniejących tam jeszcze osad nomadów Tsaatan.

dla dymu z pieca. Zmontowanie i rozmontowanie jurty nie zajmuje wiele czasu, a do jej przewiezienia potrzeba jedynie wozu i kilku koni, chociaż w obecnych czasach Mongołowie używają już do tego celu samochodów.

Nad jutrá rozpościera się bezchmurne gwiazdziste niebo, niedostrzegalne w światłach miasta.

KONNY SURWIWAŁ

Następnego dnia rano zaczyna się siodłanie koni, pakowanie bagażu, namiotu oraz prowiantu na pięć dni. Zayii będzie teraz towarzyszył Gaji – młodszy przewodnik. Nasza czteroosobowa ekipa z piątym koniem niosącym bagaże rusza w nieznane (przynajmniej dla mnie i Australijki). Oprócz pomocy w wejściu

odcinek daje się we znaki, obolałe kolana i posładki to standard dla nowicjuszy jazdy konnej. Kolacja składa się z typowego mongolskiego dania – makaronu z suszonym i następnie gotowanym mięsem oraz odrobiną gotowanych warzyw. Po tym, jak zawsze, pijemy kilka kubków herbaty. Wszystko przygotowane na ognisku w trakcie nieustającej walki z komarami.

Nocujemy w namiocie. Przewodnicy nie trudzą się nawet zmianą ubrań, a ja podążam ich śladem. Pomimo śpiworów i kilku warstw zarzuconych na nie mongolskich płaszczy (*deli*) wciąż daje się odczuć chłód. To środek lata, ale w Mongolii nocą temperatura zawsze gwałtownie spada.

Podczas śniadania Zaya sygnalizuje, że dalsza droga będzie trudna. Co to znaczy, przeko-

MAŁY, ALE TWARDY

Mongolski koń to najważniejszy pomocnik człowieka. Jest odporny na trudne warunki oraz znacznie niższy niż rasy europejskie. Ta ostatnia cecha powoduje m.in., że w trakcie wyścigów na słynnym festiwalu Naadam dżokejami mogą być dzieci.



FOT. MONIKA SZYNGIELSKA

na wierzchowca nie dostajemy innych wskazówek, jak obchodzić się ze zwierzęciem. Jednak konie są wytrenowane tak, aby zawsze trzymać się w grupie, więc pozostaje tylko podziwiać piękne widoki przed nami – zielone wzgórza i nieskazitelnie niebieskie niebo.

Pierwszy obóz robimy przy rzece – kilka godzin drogi od jurt. Jednak nawet taki krótki

nujemy się kilka godzin później, gdy wkraczamy na teren mokradeł, rzek i lasu z wieloma stromymi podejściami i urwiskami. Trzymam się kurczowo siodła za każdym razem, gdy mój koń nagle przeskakuje nad dołem lub próbuje gwałtownie wydostać się z błota. Oddycham z ulgą, gdy wreszcie docieramy do doliny i marsz jest o wiele łatwiejszy.



FOT. MONIKA SZCZYGIELSKA

Wspinamy się coraz wyżej, spada temperatura, przez chwilę sypie nawet śnieg. Plemiona Tsaatan latem przenoszą swoje obozy na wyższe miejsca, aby zapewnić reniferom odpowiednio niższą temperaturę. Potem dowiaduję się, że niektórzy z nich obozują przez cały rok na tych samych terenach, zmieniając tylko pastwiska.

Kolejny obiad w czasie przerwy w wędrówce jest dokładnie taki sam jak poprzedniego dnia. Mongolska kuchnia z pewnością nie należy do najlepszych na świecie, a szczególnie w warunkach obozowych, kiedy ludzie nie przywiązują większej wagi do różnorodności potraw. Ważne jest, żeby najeść się jak najbardziej energetycznym jedzeniem. Przoduje

RZEK W BRÓD, ALE MOST JEDEN

Na trasie wędrówki przez prerię trafił się tylko jeden most, będący zarazem wejściem do parku narodowego. Pozostałe rzeki trzeba było przekraczać w bród.



FOT. SHUTTERSTOCK

WZIĄĆ RENIFERA ZA ROGI

Renifery bywają wykorzystywane do przemieszczania się i transportowania bagaży lub towarów. Do tego celu wybierane są tylko największe i najsilniejsze zwierzęta.

mięso, makarony, pieczywo. Warzywa i owoce są jedzone sporadycznie. Po posiłku pakujemy bagaże i czyścimy naczynia, które prawdopodobnie nigdy nie widziały płynu do zmywania. Liście i piach służą za gąbkę, okoliczne rzeki za zlew.

NIE ZABIJA SIĘ RENIFERÓW

Popołudniem tego samego dnia docieramy do pierwszych obozowisk Tsaatan. Już z daleka widać na wzgórzu namioty przypominające indiańskie wigwamy. Nie sam cel jest największą atrakcją w tej podróży, ale w tym momencie ekscytacja bierze górę. W końcu możemy zobaczyć, jak żyją jedni z ostatnich nomadzkich hodowców reniferów (lub ostatni, jak twierdzą niektórzy).

Pierwszy obóz składa się z głównego namiotu, w którym mieszka rodzina hodowców.

Jest też kilka innych, przeznaczonych dla gości, czyli najczęściej turystów i ich przewodników. Obok namiotu głównego złożono drewno potrzebne do gotowania i ogrzewania. W namiotach ludu Tsaatan, nazywanych *urc*, centralne miejsce zajmuje piec, podobnie jak w jutrach.

Wedle zwyczaju zostajemy powitani w głównym namiocie i poczęstowani nieodłączną słoną herbatą, pieczywem i suszonym białym serem. Nikt nie mówi po angielsku ani w żadnym innym języku oprócz mongolskiego, więc nasza interakcja sprowadza się do uśmiechów i gestów. W namiocie, tak jak i w jurtcie, obowiązuje pewna etykieta zachowania. Dla przykładu: należy siadać po lewej stronie od wejścia, bo to miejsce przeznaczone dla gości, oraz przyjmować każdy oferowany poczęstunek, ponieważ odmowa może być potraktowana jak obraza.

Kiedy docieramy do obozu, jedyny ślad po reniferach to kołki powbijane w ziemię oraz kilka poroży i ich odłamków porozrzucanych po terenie. Tsaatan nie zabijają reniferów dla mięsa czy poroży. Czekają, aż zwierzę umrze z naturalnych przyczyn, i tak uzyskane kości wykorzystują do rzeźbienia ozdób, które kupują odwiedzający ich turyści. Poroże z żywego zwierzęcia jest bardzo drogie, dlatego należy stale chronić renifery przed kłusownikami. Celem hodowli tych zwierząt nie jest zatem handel mięsem czy skórą, ale raczej produkcja serów i przetworów mlecznych, które można wymienić na inne produkty. Jak wyjaśniają nam sami hodowcy, najważniejsza jest symbioza ludzi i reniferów, ich ochrona oraz zapewnienie im pokarmu.

Tuż przed zmrokiem słyszymy charakterystyczne klikanie – to dźwięk nadchodzących zwierząt, wytwarzany przez ściegna ślizgające się po specyficznej kości, zwanej heterotypową. Jak co noc stado wraca do obozu, gdzie każdy renifer zostaje przywiązany do umieszczonego w ziemi kółka. Również na pastwisku są one związane parami, co uniemożliwia ucieczkę i ułatwia hodowcom kontrolę nad stadem.

Ponad 140 zwierząt nocuje na ziemi pomiędzy namiotami. Nie boją się ludzi, wręcz same podchodzą w poszukiwaniu jedzenia lub soli. Największych okazów Tsaatan używają jako środka transportu oraz dodatkowej atrakcji dla turystów, którzy lubią się na nich fotografować. Dzieci nomadów, nie starsze niż 4 lata, potrafią same dosiąść renifera i jeździć wokół obozu.

POŻEGNANIE ŚWIATA NOMADÓW

Kolejne dwa dni spędzamy w tym oraz oddalonym o godzinę drogi innym obozie. Od rana do wieczora każdy z hodowców, kobieta, mężczyzna czy dziecko, ma swoje zajęcia. Oprócz reniferów niektóre rodziny posiadają również stada koni i bardzo popularnych w Mongolii owiec. Przyglądamy się im, prześiadujemy w namiocie, słuchając brzmienia bardzo specyficznego i trudnego mongolskiego języka, a przede wszystkim chłoniemy naturę: zielony step, przejrzyste niebo, rzekę,

gorące promienie słońca, a gdy ich brak – także i chłód. W mieście rzadko ma się okazję do tak pełnego obcowania z naturą.

To już piąty dzień podróży. Kolejny dzień tych samych posiłków, spania w namiotach, niezmienionych ubrań i braku prysznica. Tak wygląda codziennie życie tych ludzi, a dla nas to prawie ekstremalne warunki.



Żegnamy się z rodzinami nomadów i ruszamy w drogę powrotną. Przeprowadzamy się przez te same mokradła i las, tym razem już znacznie pewniej i bez kurczowego trzymania się siodła. Obóz rozbijamy niedaleko jurt, z których wyruszyliśmy, więc ostatniego dnia docieramy do nich jeszcze przed południem.

Australijka rusza dalej do miasta, ja zaś nocuję u rodziny przewodników i następnego dnia wracam do położonego w przeciwnym kierunku Murun. Tam kończy się wyprawa i zaczyna czas na przemyślenia i analizę zdobytych właśnie doświadczeń. Towarzysząca mi od początku podróży radość zdaje się jeszcze większa, kiedy uświadamiam sobie, jak niezwykle miejsce udało mi się odwiedzić i jak nietypowych ludzi spotkać. Oby jak najdłużej pozostali oni częścią rozległych stepów Mongolii i jednym ze skarbów naszego świata. ○

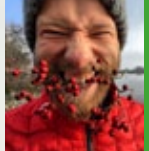
W ODWIEDZINY

Podopieczni hodowców Tsaatan poruszają się wśród ludzi bardzo swobodnie, czasami nawet próbują odwiedzać swych opiekunów.



Monika Szczygielska

Uwielbia samotne wyprawy autostopem. Od 2011 r. w podróży przerywanej przystankami na pracę, mieszkanie w odległych miejscach i zajmowanie się literackim freelancingiem. Miłośniczka terenów położonych powyżej 3000 m n.p.m.



DŁUGO W DRODZE
Łukasz Długowski

MÓJ PIERWSZY RAZ

Siedziałem na poboczu drogi. W jednej ręce trzymałem cążki do paznokci, w drugiej lusterko. Widziałem w nim moje plecy, a w nich dwa czarne punkty – kleszcze, które złapałem podczas noclegu w lesie. Próbowałem je wyciąć cążkami. Byłem we Francji, w drodze autostopem do Beaujolais. Byłem sam i nie miałem pieniędzy na lekarza. Na cały dwumiesięczny wyjazd schowałem po kieszeniach 360 zł. Nie miałem wyboru, ciąłem tymi cążkami, aż w końcu wyciąłem. Żeby mieć pewność, że nie zostawię w ciele najmniejszego kawałeczka, przez który mógłbym zachorować, poza skórą wyciąłem też sobie kawałki mięsa.

FOT. SHUTTERSTOCK

Tak piętnaście lat temu wyglądała moja pierwsza poważna podróż. Ekwipunek? Dwa plecaki – stary, zielony, harcerski i zwykły, szkolny – pożyczony namiot w ręce i bida w kieszeniach. Stałem na wylotówce z Poznania i wyciągnąłem kciuka. Tego samego dnia byłem w Niemczech, pierwszy raz za granicą. Podziwiałem ich toalety na stacjach benzynowych – czyste i z przewijakami dla dzieci. Dzień później byłem w Holandii, w Ostend, gdzie poszedłem do warzywniaka. Tam podziwiałem to, jak ekspedientka mówi płynnym angielskim. We Francji wylądowałem w święto narodowe, 14 lipca. Łapałem stopa na środku autostrady, bo tak fatalnie mnie ktoś wysadził. W końcu zgarnęła mnie policja i zawiozła na bramki, oddalone o kilka kilometrów. Złapanie następnego stopa zajęło mi 24 godziny. Okazało się, że stałem po złej stronie drogi.

W końcu dotarłem do Beaujolais, do winobrania było jeszcze daleko, miało zacząć się we wrześniu, ale ja się uparłem. Stwierdziłem, że wcześniej załapię się na zbiory owoców. Wstawiałem tuż po wschodzie słońca i szedłem na agrogieldę. Kiedy miałem przyływ odwagi, podchodziłem do co większych rolników i pytałem, czy mnie nie zatrudnią, ale często nie rozumiałem, co mi odpowiadają. Mój francuski nadawał się raczej na kupienie bagietki niż targi o pensję i godziny pracy. Trzy razy dziennie jadłem makaron posypany ziołami prowansalskimi, raz na tydzień kupowałem bagietkę i krem czekoladowy, raz tak bardzo brakowało mi mięsa, że kupiłem puszkę dla kotów. Wyrzuciłem ją po pierwszym kęsie. Żeby jakoś przeżyć, kiedy rolnicy rozjechali się

do domów, z placu po targowisku zbierałem owoce i resztki jedzenia.

Z Beaujolais pojechałem spróbować szczęścia na Lazurowym Wybrzeżu. Na noc zatrzymałem się w Prowansji, rozłożyłem śpiwór na wzgórzu i zrobiłem ognisko. Nie było drewna, więc nazywałem małych, wyschniętych krzaczków. Rozpaliłem i po okolicy rozniósł się aromatyczny zapach. Okazało się, że te krzaczki to oregano. I tak oto jadłem najlepszy makaron w życiu, z najlepszym widokiem w życiu. Słońce zaszło, ludzie zeszli z pól, a ja położyłem się spać, wciągając nosem zapach Prowansji.

Następnego dnia łapałem stopa pod Tulonem. Dziewczyna, którą poznałem po drodze, wkręciła mnie za darmo na kemping tuż nad morzem i tak przez dwa dni miałem gdzie spać i wziąć prysznic. O pracę pytałem nawet ludzi, którzy podwozili mnie samochodem. Jeden z nich powiedział, że mógłby mnie zatrudnić do prac w ogrodzie, ale musi zobaczyć moje dłonie. Pokazałem mu i już nigdy więcej się nie zobaczyliśmy. Nie było na nich odcisków, otarć, ran, nie było śladów pracy w ziemi. Takie ręce były dla niego nic niewarte.

Pracy nie znalazłem, więc pojechałem zobaczyć Cannes. Bloki, stal i szkło. Dużo sklepów. Na noc położyłem się na plaży, obudził mnie stojący nade mną owczarek niemiecki. Na smyczy trzymał go ochroniarz, powiedział, że bym się związał. Wróciłem do Beaujolais, chodziłem po wioskach i sprawdzałem winogrona. Zbliżała się końcówka sierpnia, ale nadal nie były dojrzałe.

W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło, jeden z kierowców dał mi pracę. Nocleg, jedzenie i dach nad głową.

Do tego 45 euro dziennie, kosmiczna kasa. Winogrona ścinałymi sekatorami. W ciągu pierwszych 20 minut w polu dwa razy wbiłem go sobie w dłoń, raz w policzek, w końcu przeciąłem palec na wylot. Powinienem jechać do szpitala na szycie, ale zawiązałem go szczelnie w liść winogrona (działa antyseptycznie) i pracowałem dalej. Przez następny miesiąc harowałem jak wół i jadłem jak król. Trzy dania, deser, deska serów, a wieczorem nasz *patron* (szef) wyciągał z kieszeni kluczyki do piwniczki i mówił: – *Bawcie się!* Zwykle bawiliśmy się do trzeciej, piątej rano, a o siódmej wstawaliśmy do pracy. Dzisiaj taki rytm zabiłbym mnie w tydzień, wtedy byłem jak młody bóg. W weekend poszliśmy do pubu w wiosce. Grali Brazylijczycy, było za głośno, żeby rozmawiać, więc tańczyłem sobie do plmukającej muzyki. Po jakimś czasie przestali grać, krzyczeli przez mikrofon coś, czego nie rozumiałem, ale kumpel mi wytłumaczył: – *Luca, wygrałeś!* Okazało się, że to był konkurs tańca.

Po miesiącu w Beaujolais wracałem do Polski. Opalony, wychudzony, ale szczęśliwy. W nocy łapałem stopa na stacji benzynowej. Wsiadłem, rozpocząłem zwykłą rozmowę, ale gość nie bardzo był chętny do dyskusji. Kilka razy spojrzał na mnie groźnie, ale się nie odezwał. Pędziliśmy 200 km/h w ulewnym deszczu. Uznałem, że nic nie zrobię – albo koleś jest seryjnym zabójcą i mnie zabije, albo obaj zginiemy w wypadku. Włączyłem radio, usiadłem wygodnie w fotelu i czekałem na jedno albo drugie. Kiedy dojechalismy pod granicę z Niemcami, kierowca zapytał mnie, gdzie dzisiaj nocuję. Nadal padał ulewny deszcz, a ja nie miałem gdzie spać, więc przystałem na jego zaproszenie do hotelu. Pod poduszką położyłem nóż i wyczerpany zasnąłem. Rano, ku własnemu zdziwieniu, obudziłem się w jednym kawałku. Zjedliśmy małe śniadanie, a potem facet podrzucił mnie jeszcze na samą granicę pod Miluzą. Kiedy wysiadałem, przytrzymał moją rękę i powiedział na do widzenia: – *Uważaj na siebie i na to, z kim jeździsz. Możesz trafić na kierowców, którzy zabijają i jedzą ludzi.* ○

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



FOT. SHUTTERSTOCK



Przekroczenie ponad 100-letniego Kanału Panamskiego brzmiało jak wyzwanie i przygoda. Miało być dla nas symbolicznym początkiem lądowej części wyprawy i poznawania Ameryki Środkowej.

Nieosiągalne stawało się rzeczywistością. Zakończyliśmy właśnie swój drugi „jachtostopowy” rejs i po przepłynięciu prawie 4800 mil morskich, po ponad 30 dniach żeglugi, dotarliśmy z Wysp Kanaryjskich



Anna Drózdź, Kamil Majerczyk

WPUŠCZENI W KANAŁ *i okolice*

do Panamy – do małego portu Shelter Bay w okolicy Colón na wybrzeżu Atlantyku.

Oprócz kilkudziesięciu jachtów, sklepu z lokalnymi produktami, basenu, siłowni i kawiarni z ujmującym napisem „It’s 5 o’clock somewhere” nie było tu zupełnie nic. Najbliższe

miasteczko było oddalone od mariny o jakieś 1,5 godziny taksówką, a prawie wszyscy obecni przybyli w jednym celu: zdobyć pozwolenie na przepłynięcie Kanału Panamskiego. Niektórzy czekali od kilku dni, inni od kilku tygodni. My wiedzieliśmy, że warto utknąć tu

nawet na dłuższą chwilę, by spełnić marzenie o zobaczeniu Pacyfiku z pokładu jachtu.

ŚLIZOWANIE

Powstanie tego państwa to właściwie efekt budowy kanału. W 1904 r., kiedy Amerykanie podjęli kolejną już próbę stworzenia szlaku wodnego do Indii, tereny obecnej Panamy należały do Kolumbii. W związku z konfliktami pomiędzy amerykańskim i kolumbijskim rządem Stany Zjednoczone postanowiły wesprzeć ruchy niepodległościowe na terenach Panamy, co doprowadziło do wybuchu powstania. W zamian za jego militarne wsparcie Amerykanie zażądali zgody na budowę kanału oraz wyłączności na zarządzanie nim. Dopiero

Kanał przekraczaliśmy połączeni w trimaran razem z dwoma innymi jednostkami.

Zaczął się od niezwykle ciekawego widowiska, czyli ślizowania, wymagającego sprawnego i zgranej pracy na cumach oraz oddania całkowitej kontroli nad jachtem wyszkolonemu pilotowi. Do pokonania mieliśmy na początek trzy śluzy, z których najwyższa miała prawie 22 m wysokości i 730 ton wagi. Szerokość każdej z nich mieściła się w granicach 33,5 m. My poruszaliśmy się tu bez większych problemów, ale płynącym przed nami i za nami kontenerowcom czy tankowcom pozostawało tylko 60–70 cm zapasu z każdej burty.

System Śluz Gatuńskich podniósł nas na wysokość 26 m n.p.m. – poziom, na którym zlokalizowane było sztuczne jezioro Gatun.



FOT. ANNA DRODZ / KAMIL WALECZYK

w 1999 r. władza nad tym strategicznym przesmykiem została przekazana w ręce samych Panamczyków.

We współczesnej wersji kanał mierzy ponad 80 km długości. Jego pokonanie zajęło nam prawie 12 godzin. Zaczęło się o 4 nad ranem, kiedy to na naszym pokładzie wylądowały cztery grube cumy i sześć ogromnych odbijaczy. Po około 30 minutach spędzonych na kotwiczowisku dołączył do nas pilot.



FOT. SHUTTERSTOCK

Kolejne kilkanaście kilometrów pokonywaliśmy tunelem wykopanym w skałach, aż dopłynęliśmy do następnego systemu śluz. Po ich przejściu dotarliśmy na Isla Flamenco, do jednego z najdroższych portów, w jakich nocowaliśmy w życiu, aby podziwiać błyszczące w blasku drapaczy chmur, rozpościerające się nad wybrzeżem Oceanu Spokojnego – Panama City.

RÓŻNE ŚWIATY PANAMA CITY

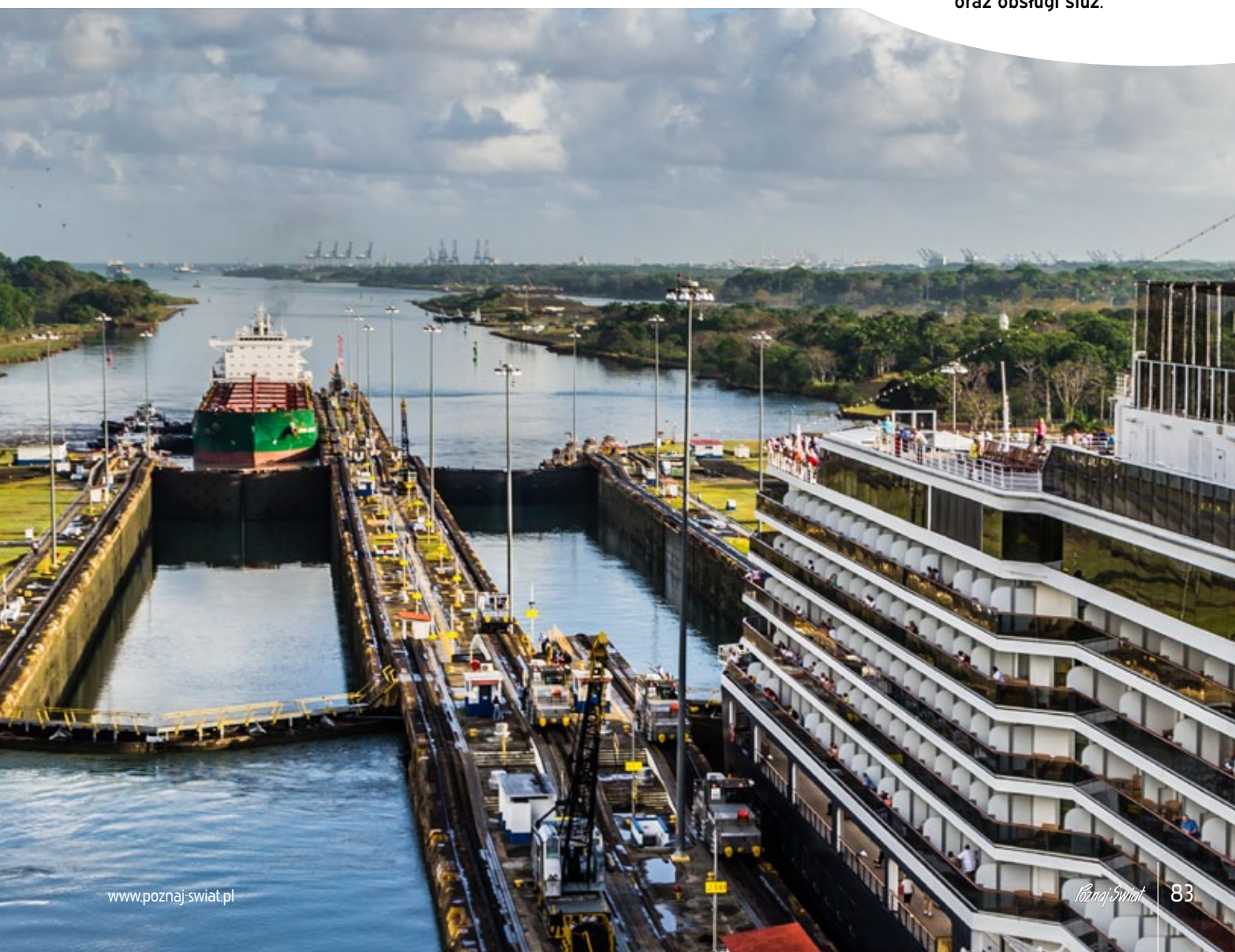
Z tej niegdyś żyjącej handlem morskim, małej indiańskiej rybackiej wioski wyrosła najbardziej kosmopolityczna metropolia Ameryki Środkowej. Panama City łączy w sobie wiele światów. Pierwszym, do którego trafiliśmy, był

ten ukryty w cieniu dworca Albrook, będący ogromną i przeludnioną dzielnicą slumsów. Wiedzieliśmy, że mieszkańcy obserwują tu każdy nasz krok. Otaczały nas szare blokowiska, schrony i ruiny budynków, które trudno byłoby nazwać domami. Wszędzie porozrzucane śmieci, blaszane punkty gastronomiczne, no i okropny zapach. Mijali nas ludzie, w których oczach można było dostrzec smutek i żal. Pierwszy raz w życiu widzieliśmy taką biedę, w tym dziesiątki brudnych i zaniedbanych dzieci biegających po ulicach. Czuliśmy niepokój, bo spacer w tej okolicy nie był raczej bezpieczny dla zagubionych *gringos*.

Potem przekroczyliśmy jeden most i wyładowaliśmy w innym świecie! Casco Viejo to zabytkowa, stara część stolicy. Została zbudowana w XVII w., osiem kilometrów od

MIEDZY OCEANAMI

Podróż w Kanale Panamskim (łączącym Atlantyk z Oceanem Spokojnym) wymaga sprawnej współpracy załogi jednostki, pilotów oraz obsługi śluz.

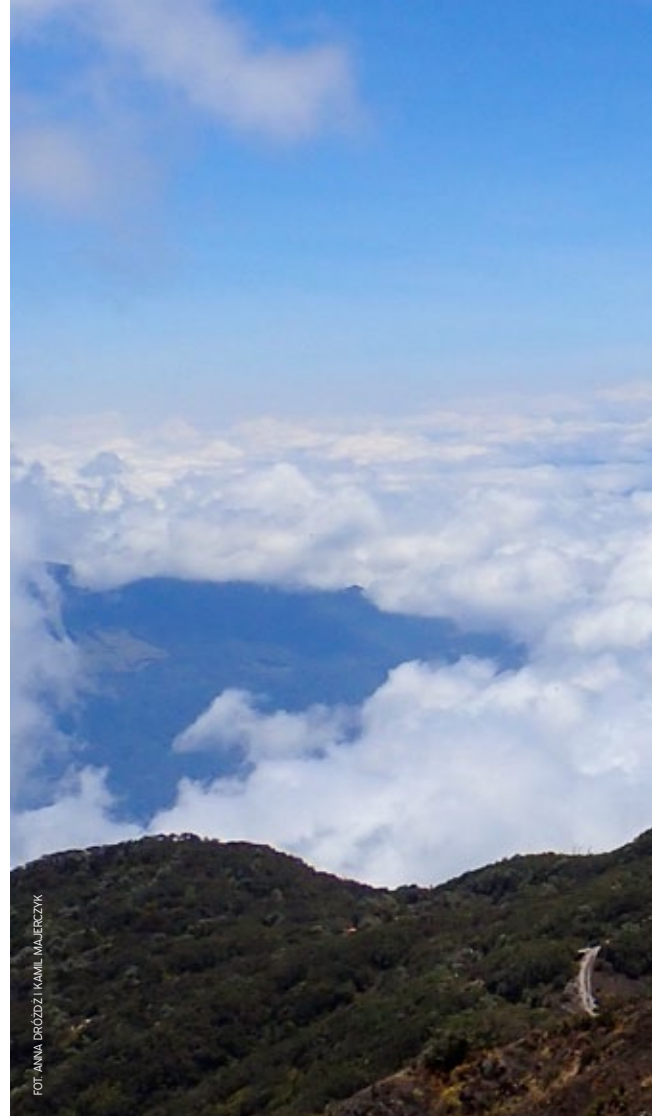


**BRAMA DO
DESZCZOWEGO LASU**

Na szlaku trekkingowym Sendero Los Quetzales, wiodącym z Cerro Punta do Boquete przez Park Narodowy Wulkanu Baru. Znajdujący się tutaj las deszczowy należy do pasma górskiego Cordillera de Talamanca i jest miejscem występowania wielu rzadkich gatunków roślin i zwierząt.

pierwotnej siedziby miasta, zniszczonej przez walijskiego pirata Henry'ego Morgana. Dziś przepięknie odnowione kolonialne budynki sprawiają, że jest to jedna z najchętniej odwiedzanych części Panama City. Nowoczesne bary, restauracje i galerie sztuki przyciągają dziesiątki turystów. My rozpoczęliśmy swój spacer od podziwiania El Palacio de Las Garzas – siedziby prezydenta kraju.

Mijaliśmy pełne ukrytej historii ulice, urocze dziedzińce, kamienice z ozdobnymi balkonami, obeliskami i pomnikami. Dotarliśmy do Plaza de la Independencia, symbolicznego miejsca z pomnikiem przypominającym wyswobodzenie od kolumbijskich rządów. Stąd



FOT. ANNA DRÓDZ I KAMIL MAJERZYK



trafiliśmy na miejsce poświęcone ludziom, którzy zginęli podczas budowania Kanału Panamskiego. Zdecydowanie największe wrażenie zrobiły na nas jednak ruiny kościoła i klasztoru Jezuitów, dwukrotnie zniszczone przez pożar i trzęsienie ziemi, a obecnie odbudowywane. Cała historyczna część miasta od 1997 r. jest wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Przepiękna promenada biegnąca nad brzegiem Pacyfiku zaprowadziła nas do najnowszej, pełnej drapaczy chmur, zmodernizowanej części stolicy. Ten dwudziestominutowy spacer sprawił, że poczuliśmy się jak... w Miami. Siedziby wielkich korporacji i banków, modne restauracje i hotele, błyszczące kryształami galerie handlowe i kasyna. Obok – luksusowe apartamenty na sprzedaż, których ceny zaczynają się od 200 tys. dolarów. Dla Panamczyków to nieosiągalna suma, dla imigrantów też wysoka, mimo



to budynków wciąż przybywa. Wszędzie pełno drogich samochodów i spieszących się gdzieś ludzi. O tym, że wciąż jesteśmy w Ameryce Łacińskiej, przypominają tylko pędzące po ulicach z zabójczą prędkością tutejsze busy *diablo rojo*, z których słychać było dudniący, ogłuszający reggaeton.

Najbardziej latynoamerykańską częścią miasta są okolice Avenida Central. Energetyzująca, chaotyczna dzielnica ulicznych straganów, wielobranżowych sklepów i małych jadłodajni pełni funkcję łącznika pomiędzy kilkoma światami Panama City. Bałagan, który tu panuje, ma jednak w sobie jakieś niewyjaśnione uporządkowanie. Każdy odgrywa tutaj swoją rolę: ktoś zajmuje się sprzedażą, inny gra w szachy w cieniu drzew, biegnie na spotkanie ze znajomymi, jest pochłonięty wykładaniem towaru na stanowiska lub koncertuje na gitarze i śpiewa, próbując przebić się przez rozwrzeszczany tłum przechodniów.

DOBRE MIEJSCE NA EMERYTURĘ

Stolica kraju jest świetnie skomunikowana z wybrzeżem i regionami góorskimi. Po kilku dniach spędzonych w zabieganym mieście postanowiliśmy uciec w stronę prowincji Chiriquí, do Boquete. Niezwykle przyjemny wiosenny klimat panujący przez cały rok, naturalne piękno oraz mnogość oferowanych tras trekkingowych sprawiają, że Boquete uznano nie tylko za jeden z lepszych urlopowych kierunków, ale też za świetne miejsce na spokojną emeryturę... Dziś w miasteczku i okolicznych wioskach mieszka wielu ekspatów z Ameryki Północnej. Kilkoro z nich mieliśmy okazję spotkać osobiście.

Właścicielka ścieżki turystycznej, wiodącej do ukrytych wodospadów, wybudowała tu niedawno swoją willę. Lata temu zajmowała się prowadzeniem restauracji, ale bycie szefem kuchni w Panamie sprawiało zbyt dużo

HALO, TU WULKAN

Widok z wulkanu Baru (3475 m n.p.m.), najwyższego szczytu Panamy. Anteny radiowe zlokalizowane tuż poniżej wierzchołka góry są charakterystycznym elementem krajobrazu.

trudności. Nazbyt sprecyzowane oczekiwania żywieniowe lokalnej ludności nie pozwalały rozwinąć skrzydeł w dziedzinie egzotycznych smaków. Teraz kobieta zajmuje się organizacją wycieczek dla rosnącej rzeszy turystów odwiedzających przygraniczne tereny Panamy.

Z kolei sześćdziesięciokilkuletnia Kandydka kupiła piękny dom z ogrodem kilka kilometrów od Boquete. Na emeryturze postanowiła realizować się w pracy wolontaryjnej



WESOŁY AUTOBUS

Diablo rojo, czyli transport miejski w Panama City. Tutejsze busy są bardzo dekoracyjne, a po ulicach zatłoczonego miasta pędzą z ogromną prędkością.

w szpitalach i domach pomocy. Zdążyła też adoptować dwa bezdomne psy.

Starsze małżeństwo ze Stanów Zjednoczonych, zmęczone gonitwą wielkich amerykańskich metropolii, wyemigrowało tutaj w poszukiwaniu spokojnego życia. Osiedlili się w Chiriquí i zwiedzają Panamę swoim terenowym samochodem.

Jak duża jest populacja żyjących tu Amerykanów i Kanadyjczyków, mieliśmy szansę się przekonać, gdy odwiedziliśmy słynny w okolicy Mike's Global Grill – lokal prowadzony przez anglojęzyczną obsługę. Wśród gości trudno było znaleźć kogoś mówiącego po hiszpańsku.

Boquete to nie tylko „świat spokojnej emerytury”, to także region słynący z uprawy

kawy, w tym gatunku geisha, który zadowoli nawet najbardziej wymagające podniebienia. Plantacje i posiadłości pracujących na *fincas* Indian rozciągają się wzdłuż stromych gór i wulkanów. A jaki jest sekret wyjątkowej panamskiej kawy? Nasłonecznienie, wysokość nad poziomem morza, wilgotność, jakość gleby – wszystko ma znaczenie. Im wyżej, tym kawa szybciej dojrzewa i owocuje, ziarna będą jednak wtedy traciły na zawartości kofeiny. Sekret polega więc na osiągnięciu równowagi między obydwojema czynnikami. Także ważna jest wilgotność – najlepiej ani zbyt wysoka, ani zbyt niska. Kunsztu uprawy dopełnia proces palenia, od którego zależy ostateczny efekt sensoryczny – kawa zyskuje wytrawny lub mocny, gorzki, niepowtarzalny smak i aromat.



NIE TYLKO KAWA

A jakie jeszcze atrakcje zaoferuje Panama? Offroadową wyprawę samochodem z napędem na cztery koła na wulkan Baru! Z jego szczytu można, przy bezchmurnym niebie, zobaczyć Morze Karaibskie i Ocean Spokojny jednocześnie. Także samotną przeprawę przez las deszczowy i rwące rzeki na szlaku Los Quetzales. Ponadto skoki z klifu do błękitnej wody kanionu Los Cangilones de Gualaca... I tego wszystkiego udało nam się spróbować w Chiriquí.

Panama większości kojarzy się ze słynnym kanałem. Prawdą jest, że ta rozwijająca się republika bazuje gospodarczo na usługach związanych z Kanałem Panamskim. Jest on źródłem dużej części przychodu krajowego,

a zarazem największą atrakcją turystyczną. Nie jest jednak jedynym powodem, dla którego warto ten kraj wpisać na swoją listę *must see* w podróży przez Amerykę Środkową.

To kraj pełen historii i żywej po dziś dzień kultury rdzennych indiańskich plemion. Świat dzikich zwierząt i pięknej natury, który jest na wyciągnięcie ręki. To miejsce, gdzie spróbujecie najlepszego ryżu ze smażonymi platanami oraz soków ze świeżo wyciskanych mango i dojrzałych ananasów. To dzikie plaże na wybrzeżu Pacyfiku i wyspiarskie okolice Morza Karaibskiego. Górskie szlaki prowadzące przez dżunglę, kaniony, wulkany...

Każdy powinien spędzić kilka tygodni swojego podróżniczego życia w Panamie! ○

W KOLONIALNYM KLIMACIE

Casco Viejo – zabytkowe, XVII-wieczne centrum Panama City. Od 1997 r. jest wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO.



**Anna Drózd
i Kamil Majerczyk**

Zakochani w żeglarswie i turystyce górskiej podróżnicy, autorzy bloga raportzbezdrozy.pl. W listopadzie 2017 r. ruszyli na jachtostopową wyprawę przez Atlantyk do Ameryki Łacińskiej.



GÓRY JAK Z BAJKI

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Zima w górach kojarzy się bajkowo. Przysypane białym puchem drzewa, pokryte śniegiem szczyty i błękitne niebo. Szukając typowo pocztówkowych gór, trafiłem w Pieniny. W odróżnieniu od zatłoczonych o tej porze roku Tatr jest tam niezwykle spokojnie. Obdarte z liści drzewa zdradzają leśne tajemnice. Ciągące się bez końca pola tylko dzięki miedzom nie są śnieżną pustynią. Spacerując po wzniesieniach, podziwiamy z jednej strony majestatyczne Tatry, a z drugiej zjawiskowo piękne Trzy Korony.

Sromowce Wyżne. Zupełnie mało ważna miejscowość na trasie. Kiedy jednak zatrzyma się samochód przy skrócie do Sromowców Niżnych i wyjdzie na okoliczne pola, można zobaczyć przepiękny widok. Pieniny to kopalnia punktów widokowych. Wzgórza usłane polami pną się tutaj wysoko, a brak drzew pomaga w podziwianiu górskich pejzaży. To właśnie w tym miejscu wiele lat temu zrodziła się moja fascynacja Pieninami. Zaintrygowany, wróciłem zimą, żeby zobaczyć, jak prezentują się wtedy. Przez lata stworzyłem sobie trasę, którą w zależności od panujących warunków pokonuję za każdym razem, ciesząc oczy niezwykle widokami.

Głównym problemem zimą może okazać się stan dróg. O ile główne ciągi komunikacyjne są świetnie utrzymane, wiele dróg lokalnych jest pokrytych śniegiem czy lodem i bardzo trudno nimi przejechać bez zakładania łańcuchów. Można, a nawet warto, nastawić się na długie spacery. Moim ulubionym miejscem, które zimą często staje się nieprzejezdne, jest wzgórze nad Czorsztynem przy drodze do Kluszkowców. Ze szczytu można podziwiać dwa pienińskie zamki – Czorsztyn i Niedzicę, a także Zalew Czorszyński, Podhale, Spisz i górujące nad wszystkim Tatry. Przy dobrej pogodzie i przejrzystości powietrza jest to wyjątkowy widok. Przejście z Czorsztyna zajmuje około 20 minut i przy śliskiej

nawierzchni jest to dużo lepsze rozwiązanie, bo na tej drodze nie ma gdzie zawrócić, a zjazd na drugą stronę jest naprawdę stromy.

Takich miejsc z widokiem na Tatry jest w Pieninach mnóstwo. Wiele z nich to znane punkty, w których o poranku aż roi się od fotografów. Po słowackiej stronie takim miejscem jest Przełęcz pod Tokarnią (słow. Lesnické sedlo). Do celu można dotrzeć bez problemu samochodem, droga jest dobrze utrzymana. To niewielka przełęcz nad Wielkim Lipnikiem po drodze do Leśnicy, położonej nad samym Dunajcem. Rozciąga się stąd przepiękna panorama na Tatry Wysokie. Przełęcz tworzy swoistą granicę, bo w miarę oddalania się od tatrzańskiego grzebienia tracimy



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

dobrą perspektywę, a same Tatry stają się jedynie konturem na horyzoncie.

Sromowce Niżne. Właśnie tu przyklejona do Dunajca i ukryta pod Trzema Koronami wioska jest moim ulubionym miejscem w Pieninach. Prowadząca do niej droga jest niezwykle malownicza. Początkowo ze wspomnianego punktu widokowego w Sromowcach Wyżnych wije się w dół, po czym dochodzi do rzeki i wzdłuż niej prowadzi do samej wsi. Osada ma klasyczny układ. Domy wzdłuż głównej drogi z kilkoma przysiółkami. Zimą wygląda to wszystko zupełnie nieturystycznie. Samochód zatrzymuję zazwyczaj na przestronnym parkingu po prawej stronie. To mój punkt wypadowy, bo okolica wbrew pozorom zadowoli każdego spacerowicza.

Gdy już jesteśmy u stóp Trzech Koron, trudno odmówić sobie spojrzenia na okolicę z góry. Wejście spokojnym tempem na taras widokowy na Okrąglicy w zimowych warunkach nie powinno zająć więcej niż 1,5 godziny. Po wyjściu z parkingu mijamy ostatnie zabudowania i kierujemy się do dobrze widocznego schroniska PTTK pod Trzema Koronami. Jest to bardzo przytulne i fajne miejsce dla poszukujących noclegu w okolicy. Można w nim również zjeść bardzo dobry, domowy obiad i ogrzać się po górskiej

wędrówce. Najpierw jednak trzeba wejść na szczyt. Mijamy więc schronisko i idziemy dalej żółtym szlakiem. Droga ma swoje lepsze i gorsze fragmenty. Bywa na niej stromo i można nieraz złapać zadyszkę. Po dotarciu na Przełęcz Szopka odbijamy w prawo w kierunku Trzech Koron. Już stąd pomiędzy drzewami można zobaczyć Tatry. Dalej drzewa odbierają nam widoki, ale już po chwili widać budkę wejściową i metalowe schody, które prowadzą na sam czubek Okrąglicy. Na końcu schodów znajduje się metalowe gniazdo, z którego widać niezwykłą panoramę. Po lewej stronie przepiękny przełom Dunajca. W dole majaczą domy w Sromowcach. Za nimi rozciągają się pola, które prowadzą wzrok aż do samych Tatr. Daleko z prawej zobaczymy Gorce i Beskidy z wyróżniającą się Babią Górą. Te widoki naprawdę zapierają dech.

W drodze powrotnej do Sromowców można też kładką dla pieszych przejść na słowacką stronę do Czerwonego Klasztoru i udać się na spacer wzdłuż Dunajca. Za każdym razem to przekroczenie rzeki jest dla mnie niezwykłym doświadczeniem. Uświadamiam sobie, że mieszkańców dzieli może 100 m w linii prostej, a żyją w dwóch światach – z różnymi walutami, prawem czy władzami, a na dodatek mówią odmiennymi językami.

W tym miejscu potrafię odczuć, co oznacza „granica”.

Nie wiem dlaczego, ale pola nad Sromowcami Niżnymi są zupełnie pomijane przez turystów. A wystarczy z miejscowości wyjść którąkolwiek z dróg prowadzących w górę, żeby już po chwili podziwiać Trzy Korony, Dunajec, a ze szczytu tych pól zobaczyć Tatry. Nie ma tam jednej, właściwej drogi. Trzeba kierować się po prostu cały czas do góry i szukać wzrokiem górskich panoram, których w okolicy nie brakuje.

Pieniny to jeden z najbardziej malowniczych zakątków w polskich górach. Ich uroda jest niezwykła. Potrafią zaskakiwać. Zimą panuje tam bardzo spokojna atmosfera, nawet najpopularniejszym szlakom daleko do gwaru z drogi nad Morskie Oko. To góry dla koneserów, którzy będą potrafili krok po kroku odkrywać ich piękno. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

PIĘKNE SPOTKANIE MORZA Z LĄDEM

Jerzy Machura

„Gdy rodziła się nasza planeta, najpiękniejsze spotkanie morza z lądem zdarzyło się na czarnogórskim wybrzeżu” – napisał George Gordon Byron po powrocie z nieco awanturniczej, trwającej dwa lata podróży po południowej Europie i Bliskim Wschodzie. Kto choć raz zawędrował do tej krainy, zwanej z włoska Montenegro, ten potwierdzi słowa słynnego angielskiego poety.



Zachwyty Byrona potwierdzają się już podczas przeprawy promowej przez Zatokę Kotorską, tuż za granicą z Chorwacją. To jedyny na południu Europy fiord, a zarazem jedna z najbardziej malowniczych na świecie zatok. Nie tylko ze względu na walory przyrodnicze – Zatoka Kotorska to także bogactwo dziedzictwa kulturowego, ponad 40 proc. wszystkich zabytków Czarnogóry znajduje się właśnie w tym rejonie.

RISAN NIEPOKORNY

Jeśli Kotorska, to oczywiście Kotor – niewątpliwie największa atrakcja wśród tutejszych miejscowości, wpisana na listę UNESCO. Jego starówkę otaczają potężne mury (o obwodzie 4,5 km) – zarówno od strony morza, jak i gór. To miasto zabytkowych kościołów, z których warto zwiedzić zwłaszcza romańską katedrę św. Tryfona. W jej skarbcu przechowuje się m.in. krzyż, którym papieski legat błogosławił wojska Jana III Sobieskiego zdążające pod Wiedeń.

MIASTO ADMIRAŁÓW

Położony nad Zatoką Kotorską Perast był siedzibą słynnych marynarzy, którzy m.in. uczyli żeglowania oraz wojowania na morzu rosyjskich bojarów. To stąd także pochodzili dowódcy rosyjskiej floty bałtyckiej.



WYSPA UMARŁYCH

Porośnięta ciemnymi cyprysami Wyspa Św. Jerzego kryje w sobie mroczne, ale i romantyczne tajemnice. Może dlatego stała się inspiracją dla szwajcarskiego malarza Arnolda Böcklina do namalowania obrazu „Wyspa umarłych”.

O Kotorze zwykle pisze się, gdy mowa o jego zatoce. Ale przecież to nie jedyne powaby tego miejsca. Aby je poznać, wśród nich dwie urokliwe i bliźniacze, ale także różne wysepki, proponuję nie wsiadać na prom w Kamenari, by przeciąć zatokę w poprzek do Lepetane i stamtąd dostać się szybciej do Kotoru, ale jechać dalej drogą w kierunku Perastu.

Już za Kamenari dostrzeżemy najwcześniejsze miejsce Boki Kotorskiej: trzystumetrową cieśninę Verige, dzielącą Zalew Tiwatski od Risańskiego. Jej nazwa pochodzi od żelaznych łańcuchów, którymi zamykano niegdyś dostęp dla okrętów pirackich i tureckich. Nim dostrzemy do Perastu, można zatrzymać się w Risanie, określanym kiedyś jako ojczyzna oleandrów. Starożytne Rhizon założyli Ilirowie w 288 r. p.n.e. To tutaj zakończyła swoje panowanie słynna wojowniczka królowa ilirjska Teuta, która rządziła po śmierci męża pijaka, króla Agrona, w latach 230–217 p.n.e. W czasach największego rozwoju miasto liczyło ok. 10 tys. mieszkańców. Dziś o ślady

świećności trudno, ale można jeszcze zobaczyć cenną i dobrze zachowaną rzymską mozaikę z II w. n.e., której centralną postacią jest bóg snu Hipnos.

No i jesteśmy w Peraście. Jego powstanie również wiąże się z Ilirami – z plemieniem Pirusta. To stare miasto żeglarzy, o wspaniałej przeszłości związanej z morzem. Ślady tego ujrzymy, zaglądając do Muzeum Miejskiego, gdzie wśród eksponatów jest obraz przedstawiający kapitana Marka Martinovića, który wykładał nauki morskie i uczył rosyjskich bojarów trudnej sztuki żeglowania. Stąd pochodził też Matija Zmajević, który wedle podań uratował życie Piotrowi Wielkiemu w bitwie z flotą szwedzką. W rewanżu car powierzył mu potem dowództwo rosyjskich okrętów. W barokowym kościele św. Mikołaja znajduje się krzyż Aleksandra Newskiego, którym to odznaczeniem uhonorowany został Zmajević, admirał rosyjskiej floty bałtyckiej.

Miasto było silnym ośrodkiem handlu morskiego, co kusiło różnych agresorów, a zwłaszcza korsarzy i Turków. Nigdy jednak



FOT. JERZY MACHERA

go nie zdobyto. Do dziś wspomina się bitwę morską z Osmanami i obronę miasta z 15 maja 1654 r. Dla upamiętnienia tego wydarzenia corocznie jest organizowane tzw. „Strzelanie do koguta”, czyli współzawodnictwo, które ma podkreślić bohaterskiego ducha mieszkańców Perastu. Kiedyś wypuszczano w morze przywiązane do deski... żywego koguta i celowano do niego. Teraz oszczędza się ptactwo, a za cel służy atrapa koguta.

Na zboczu, nad miastem, widać twierdzę św. Krzyża. To z niej mieszkańcy Perastu wyparli w 1813 r. załogę francuską, co walcie przyczyniło się do usunięcia tego okupanta z Czarnogóry, rychło potem zaś do przyłączenia Boki Kotorskiej do Montenegro.

DO ŚW. JERZEGO I MATKI BOSKIEJ NA SKALE

W Peraście urzeka widok dwóch wysp. Jego malowniczość potwierdzają słowa serbskiego pisarza Ljuby Nenadovića: „I dziwię się słońcu, jak może zejść, wiedząc, że takiego piękna

nigdzie nie znajdzie”. Dwie, wydawałoby się bliźniacze, ale jakże różne z wyglądu i z historii wysepki to: Sveti Đorđe (Św. Jerzego) i Gospa od Škrpjela (Matki Boskiej na Skale).

Opuszczamy cztery kółka i przesiadamy się na stateczek (można wynająć w przystani). Widok wyspy mającej za patrona św. Jerzego przyciąga, a zarazem lekko przestrasza. To wierzchołek podwodnej skały, na której wzniesiono kościół benedyktyński pod tym samym wezwaniem, otoczony tajemniczymi czarnymi cyprysami. Ta mroczność stała się inspiracją dla szwajcarskiego malarza Arnolda Böcklina do stworzenia jednego z jego najwspanialszych dzieł – „Wyspy umarłych”.

Wyspa nie jest niestety dostępna dla turystów. Pozostaje więc zadowolić się widokiem oraz romantyczną historią, jaką opowiadają przewodnicy. Otóż żołnierz armii francuskiej okupującej te tereny, Ante Slović, z pochodzenia Dalmatyńczyk, zakochał się w pięknej Katarzynie, mieszkance Perastu. Kiedy doszło do walki o miasto, obsługiwał działo i zgodnie z rozkazem ostrzeliwał twierdzę św. Krzyża.

DLA MADONNY

Została usypana przez marynarzy na podwodnej skale z głazów i wraków. Powstała w akcie dziękczynnym Matce Boskiej za szczęśliwe powroty z morza.

JEDYNY TAKI FIORD

Chłuba Czarnogóry – Boka Kotorska, czyli jedyny na południu Europy fiord, a zarazem jedna z najbardziej malowniczych zatok na świecie.

Kule trafiły też w pobliski dom Katarzyny – dziewczyna zginęła, ugodzona pociskiem wystrzelonym przez człowieka, którego kochała. Gdy żołnierz dowiedział się o śmierci ukochanej, z rozpaczyny wstąpił do zakonu. Codziennie ogłaszał swój pobyt w zakonie kościelnymi dzwonami. Ale nadszedł kiedyś dzień, gdy dzwony nie odezwały się... Nieszczęśnika pochowano we wspólnym grobie z ukochaną, wśród strzelistych cyprysów osłaniających mały cmentarz.

Na drugiej z wysp można wysiąść. Również i ona ma swoisty, wielce oryginalny rodowód. Usypano ją sztucznie, na podwodnej skale, w miejscu, gdzie kiedyś dwaj bracia, mieszkańcy Perastu, znaleźli obraz Madonny. Przez wieki marynarze, w akcie dziękczynnym Matce Boskiej za szczęśliwy powrót z morza, odholowywali tam stare statki bądź przywozili z ładunku głazy i zatapiali je.

W ten sposób właśnie powstała wyspa. Stoi na niej kościół, wewnątrz którego znajduje się



m.in. galeria 68 obrazów olejnych o tematyce marynistycznej, autorstwa Tripo Kokolji. Przedstawia statki w walce z flotami nieprzyjaciół lub z rozszalałymi żywiołami. Jest tam także kompozycja „Śmierć Bogurodzicy” – malowidło o długości 10 m.

Ściany świątyni są ozdobione srebrnymi płytkami, umieszczanymi przez żeglarzy w dowód wdzięczności. Jest ich tam ponad 2500, a każda z nich zawiera nazwę statku i przekazuje jakąś myśl dla potomnych.



Kościelny skarbiec chowa w sobie jeszcze jedną osobliwość – obraz przedstawiający „Gospę od Škrpjela”, utkany przez mieszkankę Perastu Hijacintę Kunić nićmi złotymi, srebrnymi, z jedwabiu oraz z... jej własnych włosów. Na stworzenie tego dzieła potrzebowała 20 lat (niektórzy podają, że 25!), a po jego zakończeniu, niestety, oślepla.

SKARBIEC MARYNISTÓW

Wewnątrz kościoła na Wyspie Matki Boskiej na Skale można podziwiać galerię 68 obrazów olejnych o tematyce marynistycznej oraz wiele innych eksponatów związanych z żeglugą morską.

TIVAT, NASZE MIASTO!

Podążając samochodem ku wybrzeżu, dojedziemy do słynnego Kotoru, o którym wcześniej krótko wspomniałem, a który trzeba zwiedzić. Komu jednak będzie mało, niech po Kotorze zajrzy i do Tivatu. To już nad Adriatykiem. Warto, bo miasto tonie w bujnej zieleni, a ludzie morza znów mieli wielki wpływ na wygląd tego miejsca.

Do Tivatu, tak jak do pobliskiego Herceg-Novi, marynarze przez wieki przywozili z dalekich podróży sadzonki egzotycznych roślin, kwiatów oraz drzew i umieszczali je w przydomowych ogrodach lub miejskich zieleńcach. W efekcie powstał największy w tym rejonie park – pełen różnorodnych roślin, tropikalnych i subtropikalnych.

Tivat kiedyś było ulubionym miejscem wypoczynku kotorskiej szlachty. Dziś jest nim dla... polskich turystów. ○



Jerzy Machura

Z wykształcenia prawnik. Przez wiele lat był dziennikarzem sportowym, realizując zarazem marzenia o podróżach. Interesuje się historią i kulturą Czarnej Afryki oraz basenu Morza Śródziemnego, zwłaszcza Bałkanów, które zjeździł wzdłuż i wszerz. Píše także o urokach przyrody.

Magdalena Zelewska

SZĘŚĆ WIEKÓW RADOŚCI

Karnawał to nie tylko sambodrom w Rio. Imponującą paradą może się poszczycić również Funchal, gdzie najlepsi tancerze szkół samby prezentują zarówno umiejętności, jak i wielobarwne, zapierające dech stroje, ozdoby i nietuzinkowe choreografie. Parada z 2018 r. była szczególna, bo mieszkańcy wyspy obchodzili 600 lat jej odkrycia przez portugalskich żeglarzy. Dlatego też tematem przewodnim świętujących było „Madera – 6 wieków radości”.





Najważniejsze atrakcje karnawału to tradycyjna Festa dos Compadres w Santana i ostatkowy pochód przebierańców Trapalhão (procesja satyry i slapsticku). Punktem kulminacyjnym była wielka karnawałowa parada Cortejo Alegórico w Funchal – taneczny pochód grup reprezentujących okoliczne szkoły samby.

Każda z 11 trup kierowała się inną tematyką. Za inaugurację była odpowiedzialna platforma João Egídio Rodriguesa z tańcem zatytułowanym „Złote wieki”.





Pozostałe szkoły obrały motywy : „30 lat euforii i chwały”, „Karnawał z zamierzchłych czasów”, „Czyste piękno”, „Cariocas na ratunek radości”, „Bohaterski”, „Sorrisos na imprezie”, „Wyspowy patchwork”... Stowarzyszenie z Camara dos Lobos zaprezentowało choreografię zatytułowaną „Białe złoto”, a jako ostatnia wystąpiła szkoła samby Caneca Furada z koronującym paradę występem „600 lat świętowania – koniec roku na Maderze”.

Szkoły nie tylko prowadzą lekcje tańca, lecz także są instytucjami promującymi całą kulturę samby. Reprezentują poszczególne części wyspy, często mają swoje flagi i barwy.





4500 osób asystowało grupom przemierzającym miasto od rotundy Harvey Foster, w stronę alei Francisco Sá Carneiro, mijającym aleję Morza i Wspólnoty Madery, by zakończyć marsz na placu Niepodległości.

Podczas karnawału nie tylko zawodowi tancerze przebierają się w festiwalowe stroje. Niemal wszystkie ulice Funchal zalewają wtedy rozśpiewane, wielobarwne tłumy mieszkańców i przyjezdnych, którzy codzienne troski chowają pod radosnymi strojami, uśmiechem i zabawą.



Balowanie trwa co najmniej tydzień i kończy się w tzw. tłusty wtorek, czyli ostatni dzień przed środą popielcową. Popularnością cieszą się wtedy okrągłe drożdżowe pączuszki *malasadas*, które zgodnie z tradycją wypieka się, by zużyć zapasy przed postem. Podobno kiedyś Portugalczycy przyglądali się skwierczącemu w tłuszczu ciastu i odgadywali kształty, jakie przybierało. Na ich podstawie wróżyli sobie niczym my z wosku na zabawie andrzejkowej.





Samba króluje nie tylko na Cortejo Alegórico, lecz także na skwerach i w barach. Niemal wszystkie kluby organizują w tym czasie tematyczne imprezy, zachęcając swych klientów do przebierania się zgodnie z ustalonym motywem. Cała „wyspa wiecznej wiosny” staje się na ten czas „wyspą karnawałowego szaleństwa”.



Dzisiaj karnawał jest kojarzony przede wszystkim z Brazylią, lecz w istocie pochodzi on z Portugalii. Obchodzono go tam już w XV w. i dopiero za sprawą kolonizacji innych wysp i krajów przez Portugalczyków zwyczaj ten przeniósł się na odległe lądy, gdzie przyjął zupełnie nową formę.



Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into the Tribes”. Mieszka w Paryżu.



PAMIĘTAJCIE O OGRODACH

Królewski Ogród Światła. Wygląda równie wspaniale i królewsko, jak brzmi jego nazwa. Nic dziwnego. Iluminacja z tysięcy kolorowych świateł kreuje magiczną przestrzeń, w której po zmroku można się poczuć jak w zupełnie innej epoce. To nie wszystko. Blasku całości dodaje Muzyczny Ogród Marzeń, który tę finezyjną grę świateł zgrabnie łączy z muzyką klasyczną. Wszystko odbywa się w scenerii dolnego ogrodu barokowego przy pałacu królewskim w warszawskim Wilanowie.



FOT. ANNA SZCZESNA

Wilanów to dawna rezydencja monarsza i rozległa posiadłość podmiejska króla Jana III Sobieskiego. Centralną częścią tego barokowego założenia jest reprezentacyjny pałac. Przed nim znajduje się obszerny dziedziniec, a wokół roztacza się ogród z licznymi pawilonami, rzezbami i fontannami. W skład zespołu wchodzi także obiekt folwarku i obszaru przedpałacowego: karczma, kuźnia, szpital, dom doktora, kościół z mauzoleum Potockich, cmentarzem oraz plebanią. Natomiast otaczający rezydencję ogród wykorzystuje piękno Jeziora Wilanowskiego i łączy się z parkiem romantycznym, zwanym Morysin, który jest przedłużeniem krajobrazowym i kompozycyjnym Wilanowa.

Dziś moim celem jest jednak wyłącznie ogród. Zimą ogrody są smutne, nudne, nieatrakcyjne? Nieprawda. Zwłaszcza za bytkowe parki i ogrody potrafią pod tym względem zaskoczyć. Są nie tylko wyrazem pewnej ciągłości historycznej oraz dokumentem przestrzennym minionych

epok, ale i obszarem, gdzie dawne światło łączy się z nowym. Takemu właśnie zabiegowi (po raz kolejny zresztą) został poddany królewski ogród w Wilanowie. Roślinność już dawno przeszła w stan spoczynku, więc projektanci w jej miejsce wyczarowali tajemniczy ogród. Zgrabnie połączyli współczesne nowinki techniczne i awangardowe formy z historycznym, barokowym układem tego miejsca. Całość wypadła ciut surrealistycznie, ale gwarantuję – będziecie zachwyceni.

Dla lepszego efektu do ogrodu zmierzam wieczorem. Ciemności wokół tylko dodają szczypty smaku, zwłaszcza że tę plenerową wystawę-spektakl najlepiej oglądać po zmierzchu. Droga wiedzie przez niezwykle świetlisty tunel, z którego płyną delikatne dźwięki muzyki z przeszłości. Na pałacowym dziedzińcu witają mnie orły, które strzegą rozświetlonej pergoli. Dalej przechodzę do ogrodu północnego, gdzie podziwiam aleję obsadzoną pnąciami i XVII-wieczną altanę. Mimo zimowej aury drzewka pomarańczowe wciąż kwitną – kolorowymi światłami.

Tuż obok nich znajduje się specjalna rozświetlona rama, w której tle doskonale prezentuje się pałac. To dobry punkt widokowy, a zarazem Muzyczny Ogród Marzeń. Z ukrytych głośników sączy się do uszu muzyka klasyczna, a barwne iluminacje wiernie odwzorowują geometryczne kształty barokowego ogrodu. Wszystko razem tworzy zupełnie inny wymiar. Mistyczny, czarodziejski, baśniowy. To prawdziwy tajemniczy ogród, jak z powieści Frances Hodgson Burnett, choć bynajmniej nie jest to zapomniany, dziki ogród angielski. Wręcz przeciwnie, tu wszystko jest na swoim miejscu, regularne i pod liniijkę.

Zresztą cały zespół pałacowo-ogrodowy w Wilanowie dokładnie taki właśnie jest. Nic dziwnego. Został ukształtowany pod koniec XVII w. według *entre cour et jardin*, czyli typu założenia rezydencjonalnego doby baroku, jaki wykształcił się we Francji. Zgodnie z nim wilanowski pałac leży na jednej osi kompozycyjnej z reprezentacyjnym dziedzińcem od frontu oraz z ogrodem na tyłach. Jak dowiaduję

się z różnych fachowych opracowań, to ogród typu wielodzielnego tarasowego, charakterystyczny dla doby baroku. Zajmuje dwa poziomy, a także składa się z kilku części. Centralna, która odzwierciedla charakter całej rezydencji i jest swoistym przedłużeniem pałacowych wnętrz, ma charakter ozdobnego ogrodu włoskiego, zwanego galanteryjnym.

Górny taras, który jest zlokalizowany na poziomie apartamentów królewskich, ma z kolei wykwintne, symetryczne partery haftowe. To płaskie, niskie kompozycje kwiatowe o układzie przypominającym ornamenty haftu. Otacza je dekoracyjna obwódka z bukszpanu na tle żwirowym lub piaszczystym. Dzięki temu przepiękne roślinne wzory są jeszcze lepiej widoczne. Za czasów Jana III Sobieskiego taras zdobyły posągi bogów olimpijskich, dziś są to figury bóstw mitologicznych. Niegdyś wewnątrz tej ogrodowej kompozycji, w jej narożnikach, znajdowały się drewniane altany. W dawnych królewskich czasach były w nich latem ustawione ceramiczne donice i wazy z ziołami, krzewami, kwiatami, a nawet drzewkami cytrusowymi.

Poniżej rozpościera się taras dolny, do którego prowadzą kamienne schody ze sztuczną grotą pod nimi. Początkowo znajdowały się tam symetryczne sadzawki, potem – partery kwiatowe, czyli płaskie kobierce z kwiatów. Między nimi a Jeziorem Wilanowskim utworzono także lipowe wysokopienne boskiety, czyli typowe dla założen ogrodowych w stylu francuskim szpalery drzew i krzewów o geometrycznym zarysie.

Po obu stronach dziedzińca pałacowego założono jeszcze dwa pasma owocowo-warzywne, czyli tzw. ogród fruktyfikujący. Każde z takich pasm składało się z sześciu prostokątnych kwater. Między nimi wznosiła się studnia, która ułatwiała pracę ogrodnikom. Pod koniec życia Sobieskiego został założony jeszcze jeden ogród warzywny, w którego obrębie funkcjonowały figarnia i pomarańczarnia, a w centrum powstała sztuczna Góra Bachusa, gdzie zlokalizowano winnicę i kopiec widokowy.

To wszystko jest naprawdę zaskakujące. Król Jan III Sobieski kojarzy się jako zwycięzca spod Wiednia – wojownik, nie rolnik. Tymczasem był świetnym gospodarzem swoich majątków, interesował się rolnictwem i ogrodnictwem. Sprowadzał też sadzonki rzadkich roślin,

a w wilanowskich ogrodach rosły nie tylko cytrusy oraz figi, ale i melony, karczochy, kasztany jadalne... Także dekoracje apartamentów tego monarchy w Wilanowie były inspirowane motywami z poematu o tematyce rolniczej „Georgiki” autorstwa Wergiliusza. Najwyraźniej król w odrodzeniu rolnictwa upatrywał nadziei na reformę Rzeczypospolitej.

Wbrew pozorom turystyka ogrodowa nie jest ani elitarną, ani nową formą zwiedzania. Już w okresie antycznym podróżni zachwycali się ogrodami w Babilonie, Niniwie, miastach greckich czy rzymskich. W Polsce mamy blisko dziesięć tysięcy parków i ogrodów o wysokich wartościach historycznych. Kto powiedział, że nie można ich podziwiać w zimowej

odsłonie? Zwłaszcza że wtedy często zyskują fantastyczną oprawę, jak w Wilanowie. Tytuł felietonu to nie tylko słowa piosenki napisane przez Jonasza Koftę. To także swoista puenta, a zatem... Pamiętajcie o ogrodach! ☺

Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

Aktywnie w nowym roku

Wśród noworocznych postanowień często pojawiają się zamiary zwiększenia aktywności fizycznej i zdrowszego trybu życia. Oto kilka produktów, które ułatwią wysiłek na świeżym powietrzu i uczynią go przyjemniejszym.

RADOŚĆ Z JAZDY BOBIKE MINI EXCLUSIVE

Fotelik rowerowy na przód w opcji z osłoną. Przeznaczony dla dzieci w wieku od 9 miesięcy do 3 lat o wadze od 9 kg do 15 kg. Ma unikalną ruchomą kierownicę, która pozwoli dziecku poczuć się, jakby samo kierowało. Fotelik ma łatwo regulowane szelki, opatentowane 3-punktowe pasy bezpieczeństwa. Jest wykończony miękką wyściółką zapewniającą wygodę. Prosta regulacja długości podnóżków. Fotelik montuje się pod mostkiem kierownicy.



Cena: fotelik ok. 320 zł
osłona ok. 120 zł
www.angre.com.pl

PEŁEN PROFESJONALIZM FEIYUTECH SPG 2

Gimbal nowej generacji, który nie tylko pozwala w prosty sposób uzyskać pozbawione drgań ujęcia, ale także wspiera zaawansowane techniki rejestracji ścieżki dźwiękowej na smartfonie. Oferuje pięć trybów stabilizacji, które dostosowują pracę urządzenia do potrzeb. Inteligentne algorytmy antywstrząsowe oraz najnowocześniejsze silniki bezszczotkowe gwarantują płynność oraz stabilność. Dzięki dwóm równoległym kanałom transmisji BT FeiyuTech SPG 2 zapewnia pełną obsługę dedykowanych aplikacji mobilnych przy jednoczesnym wykorzystaniu zewnętrznego mikrofonu. Zastosowane rozwiązanie gwarantuje dostęp do wysokiej jakości dźwięku, bez konieczności rezygnowania z obsługi smartfona z poziomu gimbału. Źródłem zasilania SPG 2 jest akumulator typu 26650 o dużej pojemności 5000 mAh.



Cena: ok. 800 zł
www.sklep.feiyu-tech.pl

MOC GOPRO HERO7 BLACK

Niezwykle płynne ujęcia. Supermoce inteligentnego nagrywania. Wytrzymała i wodoszczelna bez obudowy. Hero7 Black to najbardziej zaawansowana kamera GoPro. Dzięki stabilizacji HyperSmooth (ultrapłynna) można uzyskać filmy niczym nagrywane z gimbalem. Nowy tryb fotografowania automatycznie zapewnia wspaniałe obrazy. Funkcja transmisji na żywo i aplikacja GoPro pozwalają dzielić się każdą chwilą. Kamera Hero7 Black to zupełnie nowy poziom funkcjonalności GoPro oraz rejestrowanych zdjęć i filmów.



Cena: ok. 1900 zł
omtgroup.pl



Cena: ok. 330 zł
www.grivel.com

DLA SKITOUROWCÓW GRIVEL GHOST

Niezwykle lekki czekan z wygodnym styliskiem o profilu G-bone dla lepszej absorpcji wstrząsów, z ostrzem i małą aluminiową łopatką. Niska waga (273 g) czyni go niezwykle atrakcyjną propozycją dla skitourowców.



Cena: ok. 380 zł
www.grivel.com

DLA BEZPIECZEŃSTWA GRIVEL STEALTH HS

Wentylowany kask z tworzywa ABS, przeznaczony dla tych, którzy bardziej cenią sobie wytrzymałość i niezawodność niż wagę sprzętu. Wnętrze jest wykonane z wtryskiwanej pianki absorbującej wstrząsy. Nie ma żadnych metalowych elementów, które mogłyby zagrażać podczas uderzenia. Wygodna regulacja rozmiaru. Zapięcie można schować wewnątrz, co zmniejsza wielkość kasku i ułatwia włożenie go do plecaka lub torby. Klipsy pozwalają na zamocowanie czółówki.

MOC ŚWIATŁA FENIX E18R

Kompaktowa latarka codziennego użytku o potężnym strumieniu światła oraz możliwości ładowania akumulatora za pomocą magnetycznego gniazda USB. Tubus latarki wykonano z anodowanego aluminium lotniczego, z baterii waży zaledwie 50 g. Źródłem światła jest dioda nowej generacji Cree XP-L HI, jej maksymalny strumień światła to 750 lumenów na dystansie aż 136 m. Do dyspozycji są 4 tryby pracy światła stałego oraz tryb błyskowy (strobo).



Cena: ok. 260 zł
www.fenix.pl

Cena: ok. 240 zł
www.makanu.pl



PODRÓŻNY ZESTAW KUCHENNY OPINEL NOMAD

Zestaw, który idealnie sprawdzi się podczas gotowania w trakcie podróży. Zawiera: szczerpek z ząbkowanym ostrzem 12 cm, szczerpek z 5-zwojowym korkociągami oraz ostrzem 10 cm, składaną obieraczkę do warzyw, deskę do krojenia z drewna bukowego, ściereczkę i jednocześnie ręcznik z mikrofibry. Wyprodukowano we Francji.

DLA WYMAGAJĄCYCH HAMMER BLADE 2 PRO

Najnowszy pancerny smartfon znanej polskiej marki Hammer. To 5,7-calowy model, który łączy szybkość i inteligencję, sportowe zacięcie i wysoką wytrzymałość. Świetnie sprawdza się zarówno podczas pracy w podróży, jak i w biurze. Ponadprzeciętną odporność na wodę i pył potwierdza certyfikat IP68, a wytrzymałość na zgniecenia jest zgodna z normą IK07. Jego pracę wspiera 8-rdzeniowy procesor Helio P23 wraz z 6 GB pamięci RAM. Blade 2 PRO jest wyposażony w 128 GB pamięci na multimedia, co daje niemal nieograniczone możliwości. Do dyspozycji są też aparaty: główny 16 Mpx oraz przedni 8 Mpx. Za długi czas działania odpowiada potężny akumulator 3900 mAh.



Cena: ok. 1700 zł
www.myphone.pl

GÓRSKA BIŻUTERIA SAMPAOLI CREAZIONI

Idealny pomysł na prezent. Każdy produkt jest wykonany ręcznie we Włoszech. Wzory nawiązują do miniatury sprzętu górskiego: brelok do kluczy w kształcie butów trekkingowych, zawieszka z czekanem, kolczyki w kształcie karabinka, bransoletki górskie.

Cena: ok. 70-130 zł
sklep.portalgorski.pl



DLA KAWOSZY ASOBU COLD BREW

Proste w obsłudze i praktyczne urządzenie do przygotowywania kawy na dwa sposoby – na zimno lub gorąco. Cold brew uzyskuje się poprzez namaczanie zmielonej kawy w zimnej wodzie przez kilka czy kilkanaście godzin. Tym sposobem otrzymujemy orzeźwiającą kawę, która jest bardzo delikatna w smaku, o niskiej goryczy, oraz może być przechowywana przez kilka dni. Asobu Cold Brew cechuje proste wzornictwo, wysoka jakość użytych materiałów i duża wytrzymałość. Składa się on z termosu, uchwyty, komory zaparządzającej z przykrywką i filtra. Termos ma pojemność 1 l, jest wykonany ze stali nierdzewnej, zakręcany i utrzymuje temperaturę napoju przez kilka godzin.

Produkt został doceniony przez Best Choice Awards – 10 najlepszych produktów roku wg Oprah Winfrey oraz uzyskał Nagrodę nr 1 na Europe Coffee Fest.



Cena: ok. 240 zł
www.camelmore.pl

ULTRALEKKIE TSG VALDEZ

To najlżejsze, najcieńsze i najprostsze ochraniacze kolan od TSG. Model dla tych, którzy nie lubią ograniczać ruchów. Miękką, wieloczęściową strukturą z pianki doskonale chroni kolana. Zapinane na rzepy. Idealne pod spodnie narciarskie, snowboardowe czy rowerowe. Rozmiar uniwersalny.



Cena: ok. 120 zł
www.hsecompany.pl

WHITE CHRISTMAS SPECIAL SCYZORYK SPORTSMAN WHITE CHRISTMAS OD VICTORINOX

Ta limitowana edycja scyzoryka przypadnie do gustu miłośnikom świątecznych gadżetów i szwajcarskiej funkcjonalności. Sportsman White Christmas Special Edition 2018 jest połączeniem wielofunkcyjnego narzędzia oraz zimowego wzornictwa, ponieważ okładki zostały ozdobione motywem choinki, a ostrze – mieniącymi się gwiazdkami. Narzędzie jest wyposażone w 13 praktycznych elementów, m.in. duże ostrze, korkociąg, śrubokręt i pilnik do paznokci. Scyzoryk jest zapakowany w ozdobne pudełko z przezroczystym okienkiem.



Cena: ok. 170 zł
www.victorinox.com/pl



Cena: ok. 690 zł
chiruca.pl

CHIRUCA DYNAMIC GTX JUBILEE

Jakie całoroczne buty trekkingowe wybrać? Zawsze byłem zwolennikiem wysokich, zakrywających kostkę. Jedenaście lat temu kupiłem Chiruca Gredos, które służyły mi przez ponad 7 lat. Dlatego z wielką chęcią przetestowałem jubileuszowy model Chiruca, czyli Dynamic GTX Jubilee, wyprodukowany z okazji 20-lecia obecności marki w Polsce. To kontynuacja znanej serii bazującej na wieloletnim doświadczeniu firmy w produkcji butów trekkingowych.

Podobnie jak w poprzednich modelach, buty te zostały stworzone z wykorzystaniem najlepszych materiałów i technologii. Postanowiłem przetestować je w możliwie różnorodnych warunkach, żeby zweryfikować zapewnienia

producenta. Wybór padł na Beskid Żywiecki. Miałem nadzieję napotkać na babiogórskim szlaku zarówno błoto, śliskie kamienie, jak i nieco śniegu. Już po pierwszych oględzinach zwróciłem uwagę na spód butów. Podeszwa Vibram Fusion CNR charakteryzuje się mocno rozbudowanym, multistrukturalnym bieżnikiem, który zapewnia wyśmienitą przyczepność na niemal każdym rodzaju podłożu. Błoto dość sprawnie odpada od podeszwy, co zwiększa pewność kolejnego kroku. Właściwa sztywność poprawia komfort pokonywania kamienistych fragmentów szlaku, a nawet miejsc ośnieżonych, przy jednoczesnej świetnej amortyzacji i absorpcji wstrząsów podczas marszu. Chociaż buty te nie są przeznaczone do typowo zimowej wysokogórskiej eksploracji – nie są przystosowane pod raki (pół)automatyczne – to jednak dobrze współpracują z rakami paskowymi i nie zawiodą, gdy zaskoczą nas nieco trudniejsze warunki na szlaku. Na szczególną uwagę zasługuje genialnie wyprofilowane, anatomiczne wręcz wnętrze. Buty doskonale leżą na stopach i równomiernie rozkładają obciążenie po całym śródstopiu, czego brakuje w niejednym modelu konkurencji.

Komfortowe warunki zapewnia membrana Gore-Tex, dzięki której stopy pozostają suche. Cholewa jest wykonana z impregnowanej skóry nubukowej ze wstawkami z Cordury – tkaniny technicznej znanej z wyjątkowej wytrzymałości, a jednocześnie zachowującej wysoką elastyczność w trakcie ruchu. Nie mógłbym przejść obojętnie obok dość popularnego, ale bardzo istotnego rozwiązania, jakim jest konstrukcja języków. Stanowią one integralną część butów i są z nimi zszyte na prawie całej długości, dzięki czemu żadne drobne kamyczki nie wpadają do środka. Kolejnymi elementami, na które muszę zwrócić uwagę, są mocowanie sznurówek za pomocą haczyków, umożliwiających regulację siły dociążenia sznurówek na poszczególnych fragmentach nogi, oraz wzmocniony nos amortyzujący uderzenia przodem buta. Wszystkie te niuanse mają wielkie znaczenie dla komfortu wędrowki. Co więcej, wykorzystane technologie sprawiają, że buty mają, przy ogromie swoich zalet, stosunkowo niską masę. Ok. 670 g (rozmiar 42) to bardzo przyzwoity wynik dla buta o tak dobrych właściwościach.

Producent udowodnił długoletnie doświadczenie w tworzeniu obuwia przeznaczonego dla miłośników gór. Jestem bardzo zadowolony z wyboru i mam nadzieję cieszyć się przyjemnością wędrówek w butach Chiruca przez długie lata – tak jak to było w przypadku popularnych gredosów.

Test: Grzegorz Miedziński



THULE UPSLOPE 20L

Kolejny raz prezentujemy plecak firmy Thule. Szwedzki producent w ciągu trzech lat stał się jednym z liderów rynku w segmencie plecaków. Ich konstrukcje są świetnie zaprojektowane, przemyślane w każdym detalu, a przez to niezwykle funkcjonalne.

Ten 20-litrowy plecak jest przeznaczony do sportów zimowych. Sprawdzi się tak samo dobrze podczas jazdy na nartach, jak i na snowboardzie. Na zimowe wyjście z liną i czekanem też jak najbardziej się nadaje. Został wyposażony w bardzo wygodny pas biodrowy z kieszeniami oraz mocne zaczepy na sprzęt narciarski. Największym atutem jest możliwość dostępu do środka bez ściągnięcia plecaka. Nawet nie trzeba odpinać pasa biodrowego – po prostu okręcamy plecak i już możemy z niego coś wyjąć – to bardzo wygodne w zimowych warunkach. Można go też otwierać tradycyjnie od góry. Nawet w pełni zapakowany pozwala na niezwykle wygodną i stabilną jazdę dzięki bocznym kieszeniom, które przylegają do tułowia. Takie rozwiązanie pozwala też bez trudu wyciągnąć najpotrzebniejsze rzeczy. Kask lub inne akcesoria łatwo przypniemy do specjalnych uchwytów. Zapięcia do nart (ukośne) lub do snowboardu (pionowe) zapewniają bezpieczny i wygodny transport sprzętu. Pasują do różnej szerokości nart i desek dzięki regulowanym

uchwytem, które można składać, aby się nie zaczepiły. Specjalny izolowany bukłak z niezamarzającą rurką pozwala utrzymać właściwy poziom nawod-

Warto na koniec wspomnieć o bezpieczeństwa, czyli bardzo dobrze widocznym kolorze i gwizdka wmontowanym w zapięcie pasa piersiowego. Jeśli zatem szukasz nowoczesnego plecaka, który na każdym kroku ułatwia korzystanie z niego, to Thule Upslope jest właściwym wyborem.

Test: Grzegorz Miedziński



nienia organizmu (zbiornik na napoje jest sprzedawany oddzielnie). Chowana pętla na czekan pozwala na przyczepienie go, ale można ją też zwinąć, aby nie przeszkadzała. Wszystkie zewnętrzne uchwyty są dobrze rozmieszczone, a część z nich można schować, gdy ich nie używamy. Plecak ma również mocowania wewnątrz, które zapobiegają przemieszczaniu się przenoszonych w nim rzeczy.

Cena: ok. 500 zł
www.thule.com/pl-pl

Zimy stulecia

„Zima stulecia” to potoczne określenie bardzo ostrej zimy, podczas której występują anomalie w postaci ekstremalnie niskich temperatur, a suma opadów śniegu przekracza wieloletnią normę. Takich przypadków w Polsce było już wiele, i to w odstępach mniejszych niż raz na sto lat.

Jedną z takich zim, która zapisała się na kartach historii, była ta z 1928/29 r. W tym czasie padło wiele nieoficjalnych rekordów (wśród nich największy: -48°C w Kąclowej koło Grybowa), a średnie temperatury wynosiły od -13°C do -16°C . Tak silny mróz spowodował pęknięcia szyn kolejowych, co wywołało problemy z dostarczaniem węgla. Pękały również rury wodociągowe, pozbawiając wody mieszkańców wielu miast. W 1939/40 r. miała miejsce najmroźniejsza zima w czasie II wojny światowej, a trwała od połowy grudnia do początku marca. Znowu odnotowano temperatury sięgające -40°C . Na przełomie 1978/79 r. Polskę zaatakowały nagłe śnieżycy. Śnieg padał niemal bez przerwy i sparaliżował cały kraj, a w wielu miastach odnotowano jego rekordowe pokrywy (Suwałki – 84 cm, Łódź – 78 cm, Warszawa – 70 cm). Z dniem 1 stycznia w województwie pomorskim wprowadzono nawet stan klęski żywiołowej. Z powodu problemów z komunikacją zaczęło brakować surowców energetycznych, a transport był bardzo ograniczony.

Parowóz TKp 101 na
odsnieżonym torze, 1929 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zasypany śniegiem pociąg, 1940 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



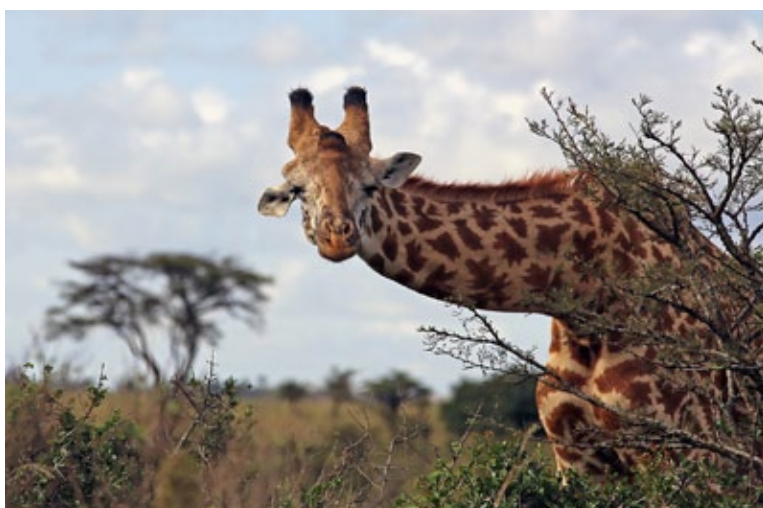
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Pracownicy Zakładu
Oczyszczania Miasta
zrzucają śnieg do st-
udzienek ściekowych
w Warszawie na
ul. Krakowskie Przed-
mieście, 1938 r.



FRANCJA – LAZUROWE ARCYDZIEŁO



PARKI NARODOWE KENII



KAMBODŻA – RELAKS W KHMERSKIM STYLU

Poznaj Świat **MIESIĘCZNIK**

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

DEVOLD® EXPEDITION

ZADBAJ O CIEPŁO W PODRÓŻY



MERINO Z NASZYCH
WYSELEKCJONOWANYCH
FARM

devold.pl

Najcieplejsza bielizna termoaktywna

Skutecznie odprowadza wilgoć

Przetestowana na wyprawach polarnych

Do długiego przebywania na zimnie

Delikatna i przyjemna w dotyku

Nie pozwala na przegrzanie organizmu

Z naturalnej wełny!

www.devold.pl



THE ORIGINAL
SINCE 1853

Szyjemy odzież outdoorową z najwyższej jakości
wełny Merino i bez kompromisów.
Projektowane i testowane w Norwegii. Produkowane w Europie.

DEVOLD®
NORWAY 1853



ALPHA SETS

WYTRZYMAŁE, LEKKIE I TRWAŁE

W celu połączenia możliwości technicznych i stylu naczyń turystycznych, nasze garnki z serii AlphaPots™ wykonane z anodowanego aluminium łączą się z serią DeltaLight™ BPA-free, aby razem tworzyć kompaktowe zestawy dla jednej lub większej grupy osób.

BEZPIECZNY UCHWYT

Opatentowany uchwyt PIVOTLOCK™ zapewnia bezpieczne i łatwe korzystanie z silikonowej rączki i składa się ułatwiając pakowanie i przechowywanie



SOLIDNE I TRWAŁE

Garnki z anodowanego aluminium z trwałą, teksturowaną podstawą dla większej stabilności na kuchenkach turystycznych

LEKKIE I POZWALAJĄCE OSZCZĘDZIĆ MIEJSCE

Dwugarnkowy zestaw dla dwóch osób waży zaledwie 765g i składa się do wymiarów 120 x 182 mm

